

# Świat Secetona

---

Cześć. Na i mię mi Kamillon. Jestem szpiegiem. Miłościwie nam panujący, nasz pan Bady Jar, wysłał mnie na krańce Wszechświata, abym znalazł mu kandydatkę na żonę. Tak, tak. To wcale nie jest żart. Mam znaleźć w kosmosie kobietę na tyle mądrą i piękną, aby dostąpić mogła zaszczytu obcowania z królem wszystkich Secetonczyków. Przyszła królowa powinna dzielić w sobie proporcje klasy Bogini, być rozważna i roztropna. Tak, żeby lud mógł ją słać po wsze czasy, pośród wszystkich galaktyk.

Przyjąłem tę odpowiedzialną misję nie bez obaw, a jednak z nieukrywaną radością. Zaufanie, jakim mnie obdarzono jest dla mnie jasnym sygnałem jak ważna jest to misja i jak wielkie pokłada się we mnie nadzieje. Ja Kamillon! Syn Wielkiego Kamilliusza, wkrótce dostąpię królewskiej chwały i poprowadzę w kolejnym pokoleniu ród Kamillionów w progi pałacu Bady Jara!

Co zaś tyczy się samej misji, to pewnie zastanawiasz się drogi czytelniku, dlaczego trzeba szukać żony dla króla, aż na krańcach Wszechświata? Czyżby na Secetonie nie było wystarczająco pięknych kobiet, które sprostałyby królewskim wymaganiom?

Sprawa jest delikatna. Jakby to powiedzieć, ... a nie skłamać, ... hmm? Generalnie jest tak, że my Secetończycy, jako rasa jesteśmy panami naszej części kosmosu. Podlegają nam ludzie z galaktyki Sandorii, podwójnego układu Rio-Lo, a także szczepy lataczy Hokkola. Wymieniłem tylko najsilniejszych, czyli takich, z którymi niegdyś musieliśmy prowadzić wojny, żeby ich podbić, a ich planety zaanektować. Pomniejszych ras nie liczę. Trudno tak wszystkich spamiętać. O tym jak jesteśmy silni niech świadczy fakt, że od stu lat w podbitych galaktykach, nie było ani jednej próby buntu. Obecnie został nam już tylko jeden przeciwnik. Są nim Waregowie ze stolicą na Wuwazarii. Prowadzimy z nimi wojnę o Terytoria Zerka znajdujące się daleko za polami podwójnego układu Rio-Lo. Ale jak wyliczyli nasi stratedzy, pokonamy ich za około 20 lat. Po prostu nasza gospodarka rozwija się w tempie nieosiągalnym dla tamtych. To po naszej stronie znajdują się surowce, siła robocza, nowoczesne technologie i wykształcona kadra. Mamy najlepiej uzbrojoną armię, najlepsze statki kosmiczne, najwybitniejsze umysły i doskonały system zwiadowczy. Niewykluczone, że jak przyjdzie ku temu czas, Waregowie widząc naszą przewagę, sami poproszą o przyłączenie do Secetona, tak jak to wcześniej zrobili inni.

Jesteśmy cywilizacją dominującą nie tylko z racji posiadanej wiedzy i technologii. Naszej cywilizacji nie zbudowały karły, ale istoty, których budowa ciała jest wypadkową idealnych parametrów środowiska globalnego. Średnia wzrostu wśród mężczyzn wynosi grubo ponad 1,90 m. Możemy zmieniać i dostosowywać temperaturę ciała w zależności do panujących warunków. Dlatego nigdy nie jest nam ani zimno ani za gorąco, tylko w sam raz. Do tego mamy po około sto kilogramów czystej wagi, bez grama tłuszczu. Pod względem siły i sprawności trochę dorównują nam latacze Hokkōla. Ale to tylko dlatego, że natura wyposażyła ich w parę skrzydeł na plecach. Dwóch Hokkōla nie ma już jednak szans w starciu z dwoma Secetończykami. No i mamy pośrodku czoła trzecie oko. Dzięki niemu widzimy więcej niż inni. Takiego oka poza nami nie ma nikt.

Tylko te kobiety nasze takie, jakieś ... grube, niskie, łyse. Mają odstające uszy i zadarte bulwiaste nosy. Pał lichy wygląd gdyby, choć głowę do nauki albo interesów miały. Ale niestety, nic z tego. Głowy do nauki nie mają. Na interesach się nie znają. Kobiety, to jest nasza cywilizacyjna tragedia. Co z tego, że jesteśmy zaawansowani technologicznie. Mamy zaawansowaną biogenetykę. Rząd nieoficjalnie od dziesiątek lat prowadzi eksperymenty i nic z tego nie wychodzi. Jak uda się stworzyć ładniejszą kobietę, to wychodzi okropna mamzela intelektualna. Jak stworzą „paszteta”, to jest żdziebko mądrzejsza niż reszta. I tak w kółko. Owszem, nasze małe, grube kobiety rodzą wspaniałych mężczyzn wojowników, ale nie samym chlebem człowiek żyje. Nasz król nie będzie żył wiecznie. Zapragnął żony mądrej i pięknej za jednym razem. Tu i teraz. I ma rację. My, władcy naszej części kosmosu zasługujemy na to by mieć piękne i mądre kobiety.

Po miesiącu podróży, liczoną kalendarzem Secetona, minęliśmy ostatnią stację kontrolowaną przez naszą armię. Było to o tyle istotne, że teraz zdani byliśmy już tylko na siebie. Choćby z tej prostej przyczyny, iż wychodziliśmy z zasięgu naszych nadajników. Tam gdzie nie było nadajników nie było łączności.

Wkrótce mieliśmy pojawić się w galaktyce Regla. Z tą galaktyką, to była dość dziwna sprawa. Gdybyśmy tylko chcieli moglibyśmy zająć ją w dwa dni. Ale ona nie nadawała się na to by ją napadać. Zresztą nie byłoby, z kim walczyć, bo na dobrą sprawę, nie wiadomo było czy tu jest jakiś rząd czy go nie ma i czy dysponuje jakimś wojskiem. Lokalnie, ktoś sprawował władzę, ale jaki miał mandat? Społeczny czy sam go sobie nadał, komu podlegał tego już nie było wiadomo. Istniały jakieś siły porządkowe, ale wojskiem to trudno było nazwać. Galaktyka Regla była kotłem ras, wyznań, języków i poglądów.

Latało się tu na wszystkim. Od dywanów poprzez seryjnie produkowaną masówkę klepaną z blach w miejscowych warsztatach aż po międzygalaktyczne ścigacze.

Galaktyka Regła miała wady, które czyniły zeń mało atrakcyjny obiekt pożądania. Była uboga w surowce naturalne, słabo zurbanizowana i nie do końca ukształtowana telemetrycznie. Brak stabilizacji telemetrycznej był jej największą wadą. Nieustannie zmieniające się szlaki komunikacyjne wymagałyby korygowania przez skomplikowaną aparaturę za ogromne pieniądze. A skoro nie było surowców i przemysłu, to inwestycja ta zapewne nigdy by się nie zwróciła. Atmosfera Regła nie odpowiadała naszym wymaganiom. Zbyt duże dysproporcje pomiędzy tlenem i azotem powodowały u nas problemy z oddychaniem. Rekompensowała to nieco nasza zmiennościelność, nie mniej czuliśmy nieznośny dyskomfort. My, nad wyraz doskonali, nie potrafiliśmy sobie z tym poradzić. Nie do końca można było przewidzieć, w którym miejscu i kiedy będziemy mogli się czuć w miarę bezpiecznie i komfortowo. Po trzecie za galaktyką Regła nie było już nic, co byłoby nam w jakiś sposób znane lub warte poznania.

Pięćdziesiątego pierwszego dnia od opuszczenia Secetona wylądowaliśmy na Tuvimori. Największej planecie trzeciego pasa wspomnianej galaktyki. O tej porze roku panowały tu znośne warunki do egzystowania. Poza tym była jeszcze jedna rzecz, dla której wybraliśmy tę planetę a nie inną, jako cel swojej podróży. Jak donosił nasz wywiad, na Tuvimori można było spotkać pośród kobiet okazy wspaniałe. Jakimś cudem to, co nie udawało się nam w laboratoriach na Secetonie za pomocą eksperymentów genetycznych, tu na Tuvimori udawało się w naturalny sposób. Krzyżówki ras dochodziły do skutku! Ale zaraz, no nie żeby na pewno. Korygował nasz wywiad. A nasz wywiad opierał się akurat w tej kwestii na informatorze o imieniu „każdy”. Każdy o tym słyszał, ale nikt nie widział. Dziwnym też trafem takie historie działy się tylko na tej planecie galaktyki Regła. Na innych nie. Przypominało mi to zwykły zabieg marketingowy. U nas jest coś, czego nie ma gdzie indziej. Dlatego warto tu przyjechać. Proste? Czy kobiety piękniejsze niż gdziekolwiek nie byłyby dobrym pomysłem? W dodatku, jak kwiat paproci. Bardzo rzadko spotykane. Tak, rzadko, że urosły do roli kuszącej legendy.

Na lądowisku nikt nas nie pytał skąd jesteśmy, w jakim celu przylecieliśmy i czy coś mamy do oclenia. Nie było też żadnych badań, czy kwarantanny. Po prostu kontrola lotów odnalazła odpowiednie miejsce na platformie parkingowej i wskazała nam je, jako miejsce naszego postoju. Jedyne, o czym nie zapomniano, to zażądać opłaty za parkowanie. Zostawiliśmy nasz statek na parkingu i ruszyliśmy „w miasto”, w poszukiwaniu pięknych kobiet. Trzeba wam wiedzieć, że w świecie Secetona nie ma miast

takich, jak w dzisiejszych czasach. Planety są tak gęsto zasiedlone, powiązane sieciami dróg, siecią teleinformatyczną, że w zasadzie sama planeta jest jedną mega metropolią, która co najwyżej jest lepiej zurbanizowana jak u nas na Secetonie, lub gorzej jak tu, na Tuvimori. Oczywiście istnieją oceany, pustynie i dżungle. Bardzo, rzadko można jednak trafić w miejsce, gdzie nie stanęła jeszcze stopa jakiegokolwiek humanoida.

Ruszyliśmy w miasto. Ja, nasz pilot Wiktoriusz oraz posępny gość dołączony do zespołu z polecenia Sztabu Gwardii Królewskiej o ksywie Ramzeliusz. Dość dużym zaskoczeniem było dla mnie, kiedy na ulicach Tuvimori ujrzałem innych Secetończyków. Co prawda nasz wywiad meldował, żebyśmy nie dziwili niczemu co zobaczymy, ale ten widok przerósł moje najśmielsze oczekiwania. Na Tuvimori nikt nie organizował wycieczek z Secetona. Ci, których udało nam się tutaj spotkać, prawdopodobnie byli Secetończykami wyjętymi spod prawa Imperium. Skazani na wygnanie. Niestety, w każdej beczce znajdzie się łyżka dziegciu.

Przyjęliśmy plan działania, który polegał na obserwowaniu galerii handlowych, kin, teatrów oraz koncertów. Odwiedzaliśmy miejsca, w których w jednym i tym samym czasie, można było spotkać wiele kobiet. Sprawdziliśmy kandydatury, proponowane przez biura matrymonialne. Przeglądaliśmy wirtualne bazy ogłoszeń. Na podstawie zebranych informacji, chcieliśmy dokonać selekcji. W zasadzie najłatwiej i najprościej byłoby ogłosić casting. Tego jednak nie mogliśmy zrobić. Zamazalibyśmy regułę wyjątkowości „znaleziska”. Szczególną uwagę zwracano nam na tę sprawę jeszcze na Secetonie. Kandydatka nie mogła pochodzić z castingu, z reklamy, z polecenia. Dziewczyna miała być miłosnym wyborem samego Bady Jara. Osobistym wyborem. My byliśmy jedynie narzędziem, który ten wybór miał mu ułatwić.

Mniej więcej po dwóch tygodniach poszukiwań, nasz zapal zaczął mocno opadać. Miejscowe kobiety nie grzeszyły urodą, ale o tym akurat wiedzieliśmy i nie dla nich tu przylecieliśmy. Oprócz miejscowych kręciło się tu mnóstwo kobiet z Sandorii, Rio-Lo, a nawet planet Zerka tylko, że to wciąż nie było to, czego oczekiwaliśmy. Po następnych dwóch tygodniach zaczęliśmy na siebie warczeć o byle co. Doszły nas słuchy, że Bady Jar wysłał w kosmos z taką samą misją jak moja, jeszcze innych szpiegów. I podobno syn Orchisa, dowódcy wszystkich flot, też wylądował na Tuvimori! A to mi się już nie podobało. Ród Orchisów od lat walczył z rodem Kamillonów o miano najbardziej oddanych przyjaciół rodziny królewskiej. Nie mogłem pozwolić na to, by młody Orchis wyprzedził mnie w drodze do chwały Pałacu. Póki co, sprawa wyglądała kiepsko. Żadnych

sukcesów. Mieliśmy jakieś propozycje, zdjęcia, ale chyba tylko po to, żeby mieć cokolwiek. Wątpię, czy Bady Jar chciałby je w ogóle oglądać. Zanim wpadliśmy na pomysł, zatrudnienia miejscowego przewodnika od spraw unikalnej damskiej urody, ktoś zapukał do drzwi.

- Zamawialiście coś? – Zapytałem, ale Wiktoriusz i Ramzeliusz tylko spojrzeli po sobie.
- O tej godzinie?!

Podszedłem do wizjera i skontrolowałem korytarz. Nikogo po tamtej stronie drzwi nie było.

- Ktoś przyszedł? – Zapytał Ramzeliusz.
- Nikogo nie ma – odpowiedziałem. Może to jakiś domokrażca? Tacy mają w zwyczaju opukać kilka drzwi naraz a potem, żeby nie marnować czasu sprzedać informacje wszystkim, którzy te drzwi otworzą, a nie każdemu z osobna. Spojrzałem jeszcze raz przez wizjer, ale znowu zobaczyłem pustkę. Zrobiłem dwa kroki z powrotem w kierunku pokoju, kiedy pukanie rozległo się znowu. Tym razem ujrzałem za drzwiami jakiegoś grubego jegomościa w futrze. Łysa głowa, małe oczka, kępy włosów za uszami. Gość spoglądał w wizjer tak jakby wiedział, że go obserwuje. Chwilę potem niespokojnie rozejrzał się na boki i zabrał do ponownego stukania w drzwi. Tym razem otworzyłem je i ręka gościa zawisła już w powietrzu.
- Dobry wieczór. Mogę wejść? – Zapytał, kiedy mnie zobaczył. Przez moment wydawało mi się, że to właśnie mnie oczekiwał zobaczyć. Przepuściłem go pomiędzy sobą a ścianą do środka. Wchodząc zrzucił z ramion ciężkie grube futro i przewinął je na przedramieniu. Drugą ręką wyszperał w kieszeni spodni chusteczkę i otarł nią spoczone czoło i szyję. Nie wiem, po co chodził latem w futrze.
- Nazywam się Gabriel Pilarion Ortega – powiedział dźwięcznym metalicznym głosem, który zupełnie do niego nie pasował. Tak jakby go komuś ukradł. Popatrzył, czy zrobiło to na nas jakieś wrażenie. Ale nie doczekawszy się reakcji kontynuował dalej. – Przychodzę w interesach.
- Jakich interesach? – Przerwałem mu, żeby zaczął wyklądać, z czym przyszedł, bo przestało mi wyglądać na to, że handluje skarpetkami.
- Coś taki niecierpliwy? – Odburknął – zaraz wszystko powiem.

Zrzucił futro z przedramienia na fotel. Wcześniej dziwiłem się, że ono jest takie pstrokate, ale teraz dostrzegłem, że jest tęczowe. Dokładnie tęczowe. Co za dziwna moda? Obcy podszedł do komody, na której stały butelki z wódką. Nalał trunek do szklanki i nie poskapił sobie ilości. Dolał sok ananasowy z karafki, która stała obok wódki. Zamieszał,

wprawnie tocząc koła nadgarstkiem w powietrzu. Nie był w tym hotelu pierwszy raz. Zachowywał się ze zbyt dużą swobodą jak na miejsce, w którym powinien być pierwszy raz.

- Jakiej jesteś rasy? - Zapytałem z ciekawości, bo nie pasował mi do żadnej znanej. Milczał przez chwilę, po czym dziobnął drinka, przełknął, syknął kącikiem ust jakby się zastanawiał, kim faktycznie jest i czy warto ową tajemnicę zdradzać. Albo czy jest ona na tyle ważna, by nas o tym informować.
- Jestem obywatelem Planet Zerka – powiedział w końcu. Wiktoriusz i Ramzeliusz momentalnie zerwali się z kanapy, na której siedzieli.
- Jesteś Waregiem!?
- Spokojnie! – Obcy uniósł nieco ręce w górę na znak, że nie ma złych zamiarów – To, że jestem z Zerka nie znaczy, że jestem Waregiem.
- Dobrze sobie – syknął Ramzeliusz – przecież walczymy z wami.
- Nie z nami – zaprzeczył obcy – walczycie z Waregami. To jest taki sam wróg dla nas jak i wy.
- Faktycznie nie jest podobny do Waregów – potwierdziłem – walczyłem z Waregami i wiem jak wyglądają.
- U nas nie dochowuje się tak rygorystycznie czystości rasy, jak u was. Nas nie rozpoznaje się po budowie ciała, tylko po deklaracji przynależności. To odróżnia naszą republikę od waszego systemu totalitarnego.
- Zrobił małą przerwę. - Co się tak gapicie? Pewnie zastawiacie się teraz ilu nas jest, skoro nie można nas jednoznacznie rozpoznać? Na przykład po trzecim oku. Hahaha – zarechotał.
- Nas też jest niemało – zaproponowałem.
- Być może – stwierdził z przekąsem. – Pomimo ewidentnych różnic, może jednak spróbujemy się dogadać? – Prześwidrował mnie na wylot swoimi małymi oczkami.
- Spojrzeliśmy po sobie.
- To może być interesujące ... - powiedziałem bardziej do swoich niż do niego. Chłopaki wyciągnęli papierosy. Zapaliliśmy. Bez pośpiechu. Opadły początkowe emocje, spowodowane obopólnym brakiem zaufania.
- Palenie wam nie szkodzi? – Zainteresował się. Próbował nawiązać w ten sposób, do pewnych naszych niedoskonałości. Nie miałem zamiaru jednak rozwijać tematu, który nie miał żadnego związku ze sprawą.
- No i ... co z tym interesem? – Oczekiwałem kontynuacji jego myśli.

- Czy drzwi są dobrze zamknięte? - Gabriel Pilarion Ortega zmienił barwę głosu na metaliczny niski i zaczął się nerwowo rozglądać wokół. Kiwnąłem na Wiktoriusza, żeby sprawdził. Wiktoriusz dla uspokojenia gościa, wyjrzał przez wizjer jeszcze raz, po czym dał znak, że wszystko jest w porządku. Ortega wyjął zza koszuli medalion, który był miniaturowym aparatem holograficznym. Położył go na podłodze i uruchomił obcasem trzewika wciskając niebieski buton. Podniósł wskazujący palec do góry, co miało znaczyć „teraz patrzcie, bo nie będę pokazywał dwa razy”. Po chwili z holografu zaczął kształtować obraz. Początkowo były to zwykłe kłęby dymu ale powoli, z tych kłębow dymu, obraz zaczął się przemieniać w zarysy twarzy. Zerknąłem na Ramzeliusza, Ramzeliusz na Wiktoriusza. Obcy zajęty był formowaniem obrazu. Znowu się spocił. Ręce jednak miał zajęte i nie miał jak sięgnąć nimi do kieszeni spodni po chusteczkę. Wreszcie dzieło zostało ukończone. Rozgarnąłem z niedowierzaniem resztki dymu papierosowego kołującego przed moim nosem. Ortega, zadowolony z siebie stał obok i energicznie wycierał ociekającą potem szyję chusteczką.
- Gdzie ... gdzie żyją tak piękne kobiety? – Pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia Wiktoriusz.
- To nie kobieta, to mężczyzna – poprawił Ortega.
- Mężczyzna??!! – Krzyknęliśmy wszyscy razem – To jak wyglądają kobiety?
- Kobiety są dużo piękniejsze – powiedział z dumą,
- Jak to piękniejsze?
- A tak to! – Oznajmił beczelnie. Mnie zaś nie mogło pomieścić się w głowie, jak może wyglądać kobieta jeszcze piękniejsza od mężczyzny, którego nam pokazał.
- Możesz nam pokazać hologram kobiety?
- Nie mogę – zaprzeczył – prowadzę biznes, a nie kino objazdowe, czy lokalne wiadomości.
- I już zabierał się do niszczenia hologramu, kiedy wszyscy naraz odruchowo rzuciliśmy się, by mu przeszkodzić.
- No co jest? – Zapytał trochę wystraszony naszą gwałtownością – Pedały jesteście? To jest mężczyzna, mówiłem wam.
- Panie Ortega – odezwałem się, podczas gdy on z zapalem niszczył już hologram – niech mi pan powie, po co ta prezentacja?
- Jak to? - Zdziwił się – przecież szukacie żony dla swojego króla.
- Skąd pan o tym wie?
- Spojrzał na mnie z wyrzutem.

- Ja jestem Gabriel Pilarion Ortega i jestem od tego, żeby wiedzieć.
- W porządku. – Podjąłem – Założmy, że faktycznie tak jest i że szukamy żony dla króla. Pan wie gdzie żyją kobiety o tak fantastycznych rysach twarzy?
- Tak.
- A czego oczekuje pan w zamian za tę informację.
- To jest to, co lubię najbardziej. – Zatarł ręce przybysz. – Lubię rozmawiać o zapłacie.
- Więc? – Zawiesiłem głos w oczekiwaniu.
- Przekazuje wam dokładne informacje o kobiecie w zamian za trzy skóry Tęczowego Kri – tu wskazał na futro w którym przyszedł, a które teraz leżało na poręczu fotela.
- Naprawdę? – Zdziwił się Ramzeliusz. A Wiktoriusz o mało nie parsknął śmiechem.
- Mogę? – Zapytałem na wszelki wypadek wskazując dłonią na jego futro. Obcy z lekkim niepokojem skinął głową na znak zgody. Poszedłem do futra. Uniosłem je do góry. Ciężkie było okropnie. Prawie jak zbroja.
- Co jest w nim niezwykłego? – Zapytałem, doszukując się drugiego dna interesu jaki chciał z nami ubić.
- Jest bardzo cenne – odparł Ortega.
- Zarzuciłem je sobie na ramiona. Próbowałem dopiąć pod szyją na zatrzask, ale było za małe. Teraz dopiero ujrzałem, że futro nabiera znacznie żywszych kolorów, kiedy jest w ruchu. Futrzane kolory tęczy, wydawały się zamieniać między sobą miejscami.
- Trzy skóry ... jak pan to nazwał ... Tęczowego Kri? – Upewniałem się.
- Tak.
- Drogie są takie skóry?
- Bezcenne.
- To jak mamy je panu załatwić?
- Trzeba upolować Tęczowego Kri.
- A nie można tych skór po prostu kupić? – Zapytał Wiktoriusz
- Wykluczone – zaproponował Ortega podnosząc medalion z ziemi i zakładając z powrotem na szyję – Kri trzeba upolować – powiedział z naciskiem.
- Hmm ... - zacząłem się zastanawiać – nie sądzi pan, że to trochę śmieszne? Żona dla króla Secetończyków za jakieś skóry?
- To nie są jakieś skóry. Zresztą ... - machnął ręką, - zmieni pan zdanie kapitanie, kiedy zobaczy pan Kri.
- A co jest z tym Kri? – Zapytał zaciekawiony Ramzeliusz. – To jakiś potwór? My się niczego nie boimy.

- Tym lepiej dla mnie – odparł Ortega.
- Dopił jednym haustem drinka.
- To co? Umowa stoi? – Upewniał się. – Akceptujecie warunki?
- O nas proszę się nie martwić. Jakie są gwarancje, że pan panie Ortega dotrzyma umowy ze swojej strony?
- Nie ma żadnych gwarancji – zaprzeczył. – Albo zawieramy umowę i dostarczacie mi towar albo idę dwie ulice dalej z tą samą propozycją do Sylfoniusza syna Orchisa.
- Ups. Zaklekotało we mnie ciężiej. Ortega zaczął zbierać się do wyjścia.
- Moment, chwileczkę! – Kto powiedział, że się nie dogadamy?
- To umowa stoi?
- Tak.
- Wyciągnął dłoń spod fałdów futra, żeby przypieczętować zawarcie umowy. Podałem swoją. Uścisk nie był jednak soczysty, nie był biznesowy. Kiedy wyszedł, natychmiast wytarłem dłoń w nogawkę spodni. Była ohydnie przeпоcona.

-&!&-

- Co o tym myślicie? – zapytałem swoich ludzi, kiedy tamten już poszedł, a my mogliśmy spokojnie rozsiaść się w fotelach, żeby się zastanowić nad całą sytuacją – Jak on nas u licha tu znalazł i skąd wie, że szukamy żony dla Bady Jara?
- Dziwna sprawa – wydukał Ramzeliusz gapiąc się w podłogę. Dokładnie tam gdzie wcześniej wyświetlany był hologram – Może to jakiś miejscowy kacyk? No wiecie, taki co wszystko słyszy i wszystko widzi i bez niego na jego terytorium nic nie może się wydarzyć?
- Powiedział, że jest od tego, żeby wiedzieć – jakby na potwierdzenie przypomniał Wiktoriusz.
- Nie, to nie to – zaoponowałem. - Ktoś musiał mu powiedzieć.
- Kto? Przecież z nikim nie rozmawialiśmy na ten temat.
- Zapadła chwila milczenia.
- To może być sprawka Sylfoniusza – powiedziałem po chwili. - Ortega wiedział czego szukamy. Przyszedł tu jak na umówione spotkanie.
- No tak, ale skąd Sylfoniusz wiedziałby, dokąd posłać Ortegę?
- W galaktyce Regła jest nasza siatka szpiegowska. Skoro my wiemy, że Sylfoniusz tu jest, to on wie tym bardziej, gdzie my jesteśmy. W końcu jest synem dowódcy wszystkich flot, co nie?

- Ale to nielogiczne – zmartwił się Ramzeliusz. - Załóżmy, że Sylfoniusz przysłał do nas Ortegę. Powstaje pytanie, w jakim celu to zrobił? Wyobraźcie sobie sytuację, w której Sylfoniusz spogląda na hologram i nie wpada w zachwyt? To nie-moż-li-we!! I w dodatku wysłała go z tym hologramem do nas?
- Niekoniecznie musiało tak być – zaprzeczył Wiktoriusz. – To Ortega mógł przyjść pierwszy do Sylfoniusza. Mógł blefować. Jakimś cudem wie, że na planecie są dwa zespoły szpiegów. Nasz i Orchisa. Odnalazł je. I teraz z każdym z osobna negocjuje cenę za kobietę.
- Myślisz, że przybiegnie juro z informacją, że młody Orchis daje cztery skóry Kri i od nas będzie chciał więcej? Na przykład pięć?
- Wiktoriusz wzruszył ramionami.
- Nie wiadomo. Wszystko jest możliwe.
- A co myślicie o hologramie? – Zapytałem. – Jest oryginalny czy to dzieło zdolnego grafika?
- Sprawdzimy to przed transakcją – zapewnił Ramzeliusz – poproszę go o udostępnienie kodu źródłowego.
- Jeśli, to oryginał – westchnął Wiktoriusz – jeśli kobiety tej rasy są faktycznie jeszcze piękniejsze od hologramu jaki nam pokazał, to ożenię się z nią.
- Jak możesz! - Ofuknąłem go – to ma być żona dla króla!
- Dobra, dobra. Nie ciskaj się. Może jest ich więcej? Dla wszystkich wystarczy.
- Nie wydaje mi się, żeby to była jakaś rasa – zacząłem się zastanawiać – słyszelibyśmy o niej. To musi być robota jakiegoś świetnie opłaconego laboratorium z dużymi możliwościami finansowymi i doświadczeniem w dziedzinie genetyki. No ale - tu już nie zaprzeczałem – jaka nie byłaby to forma narodzin, mamy szansę zerwać unikalny kwiat paproci i potwierdzimy legendę o niezwykłych kobietach z Tuvimori.
- ... i będą o nas śpiewać piosenki – zażartował Wiktoriusz.
- Nie sądzę – cierpko zauważył Ramzeliusz – ten handlarz coś za gładko chce się jej pozbyć.
- Chyba, że ... - nagle wpadłem na inne rozwiązanie – Sylfoniusz nie przyleciał tu szukać najpiękniejszej kobiety.
- Ale wtedy musiałyby być to jakaś okropnie ważna sprawa – gwizdnął pod nosem Ramzeliusz. I wszyscy jak jeden mąż zaczęliśmy się zastanawiać, co mogło ściągnąć na Tuvimori Sylfoniusza, syna Orchisa. Jaka to ważna sprawa.

-&!&-

Pięć minut po wyjściu z hotelu „Plaza” niejaki Gabriel Pilarion Ortega zmierzał szybkim krokiem na Rabarbar Square, gdzie od zachodniej strony stał apartamentowiec Kompanii Wschodnio-Zerkarańskiej. Tam na siódmym piętrze rozlokował się ze swoją swiżą Sylfoniusz syn Orchisa, dowódcy wszystkich flot na Secetonie. Poły futra objęły się mu o kolana, kołnierz piekło zaciekle w szyję, ale Gabriel nie zwalniał kroku. Czas naglił. Pechowo trafił na patrol miejski, który chciał go wylegitymować, sprytnie jednak wywiódł ich w pole. Gabriel znikł w pewnym momencie wprowadzając w osłupienie żandarmów. Pojawił się dopiero przed wejściem do apartamentowca. Tu był bezpieczny. Ochrona, kłaniając się w pas przepuściła go na jedno skinienie głowy. Jeszcze w windzie zaczął wycierać spoconą szyję i twarz wyjętą z kieszeni spodni chusteczką. Przy czym irytowała go zawsze czynność, poszukiwania chusteczki. Zmieniał bowiem regularnie kieszenie, aby ich nie przepocić. Co rusz, wkładał rękę nie do tej kieszeni, co powinien. Na siódmym piętrze podszedł do kodowanych drzwi i przytknął wystawioną przez Kompanie kartę do czytnika. Zamek drzwi odskoczył. W środku kilka osób ruszyło w jego kierunku, ale szybko zorientowali się, kim jest i nie zadali mu nokautującego ciosu. Gabriel dostrzegł Sylfoniusza. Siedział na fotelu, a na jego kolanach miejscowa kobieta. Sylfoniusz niechętnie odprawił ją.

- Jeśli następnym razem nie zapukasz, to zginiesz – ostrzegł go wyraźnie niezadowolony, że wpakował się na dobrze zapowiadającą imprezę.
- Nie mam czasu na konwenanse – wypalił Gabriel – jestem w pracy a nie na urlopie. I wolałbym, żebyście nie zapominali, że jesteście moimi gośćmi. Tu nie jest Seceton tylko Tuvimori.
- Hahaha – zaśmiał się Orchis - gdybyśmy chcieli, zajęlibyśmy to całe Tuvimori w pięć minut. Reszta kompanii wtórowała mu równie rozbawiona.
- Już gdzieś to słyszałem – odparował wściekły Gabriel.
- Sylfoniusz strzelił palcami i poprawił wojskowy pas u spodni dając znać, że oczekuje sprawozdania z wyprawy gońca do hotelu „Plaza”. Gabriel zrzucił futro i klapnął na fotel zwolniony przez Secetończyka. To była duża bezczelność.
- Co udało ci się załatwić? – Zapytał zleceniodawca przełknąwszy, że zajęto mu najlepsze miejsce.
- Wszystko – odparł Gabriel – tak jak się umawialiśmy.

- Wszystko? Poważnie? – Sylfoniusz powątpiewał. – Czy to niemożliwe, żeby Kamillon był taki nieostrożny? Sylfoniusz, jako syn dowódcy wszystkich flot na Secetonie, miał wielokrotnie okazję spotykać Kamillona, choćby na oficjalnych spotkaniach dworu u Bady Jara. Nigdy jednak nie zamienili ze sobą słowa. O ile ich ojcowie, rozmawiali ze sobą o polityce, wojnie i sprawach istotnie ważnych dla całej galaktyki, o tyle ich synowie mierzyli się zazwyczaj tylko wzrokiem. To nie była niechęć. Nikt im też nie mówił, że nie mają ze sobą rozmawiać. To był rodzaj szczególnej, osobliwej rywalizacji. Sylfoniusz, jako dziedzic swojego rodu, starał się być jego dumą. Podobnie Kamillon. Nawzajem prześcigali się w ilości wygranych zawodów sportowych, czy niebezpiecznych wyprawach w nieznanne miejsca na dalekich planetach. Każdy sukces był umyślnie nagłaśniany, z nadzieją, że dowie się o nim konkurent. W rywalizację młodych nie ingerowali rodzice. Wszyscy mieli świadomość, że ojców kiedyś godnie będą musieli zastąpić synowie. I tych synów musi zaakceptować Bady Jar.
  - Nie wiem, nie znam się na Secetończykach – odciął się od oceniania Gabriel.
  - Pokazałeś im hologram?
  - Tak. Ten sam, co wam i tak samo dali się nabrać – tu pojawił się w kącikach jego ust ledwo dostrzegalny uśmiech. Ale może tak tylko wydawało się Orchisowi.
  - I chcesz powiedzieć, że Kamillon na wszystko się zgodził?
  - Na wszystko. Zawarliśmy umowę.
  - Pojedzie polować na Tęczowego Kri?
  - Tak.
- Sylfoniusz skinął dłonią na jednego ze swoich ludzi. Ten natychmiast przygotował wódkę dla Gabriela. Bez cienia lekceważenia. Orchis usiadł naprzeciw ze swoją szklanką.
- Jeśli to wszystko prawda co mówisz, to spisałeś się doskonale. Mój ojciec ci to wynagrodzi – pochwalił.
  - Chce niepodległości dla Planet Zerka. Nic innego mnie nie interesuje.
  - Tak jak się umawialiśmy. Ale... – zastrzegł – dopiero wtedy, kiedy Kamillon zginie na polowaniu w Tęczowych Lasach.
  - Ja go tam dostarczę – zapewnił Gabriel – a to czy zginie, to już wasza sprawa. Tak się umawialiśmy.
  - Tak to nasza sprawa – potwierdził Secetończyk. – Jest jeszcze jedna rzecz.
  - Jaka?!
  - Rozmawiałem z ojcem. On chce, żebyście przepuścili naszą flotę przez Zerka. Tak, żebyśmy mogli zaskoczyć Waregów na ich przedpolu.

- Tego nie było w umowie.
- Warunki się zmieniają. Tylko my możemy zapewnić wam niepodległość.
 

Gabriel poprosił o jeszcze jedną szklankę wódki i zaraz ją otrzymał. Przeprowadzał szybką analizę za i przeciw. Nie do końca był przekonany czy należy ufać Secetończykom. Jednak to oni oferowali mu pomoc w uzyskaniu niepodległości dla Planet Zerka, a nie Waregowie. Zerka dla Waregów były strategiczną warownią. Jeśli by ją utracili, wojna przeniosłaby się w pobliże Wuwazarii. A od tego już krok do klęski. Dlatego Waregowie nie chcieli w ogóle słyszeć o żadnej autonomii dla Planet Zerka.
- Dobrze – zgodził się Gabriel. – Poddamy wam nasze twierdze na Plantach Zerka.
 

Wiedział, że jest to bardzo ryzykowny układ. Ale prawdopodobnie była to ostania szansa na niepodległość. Jeśli Seceton w pojedynkę pokona Waregów, to nie będzie miał w ręku, żadnych atutów. Nie będzie na czym się oprzeć, ani co negocjować.
- Doskonale – pochwalił go ponownie Sylfoniusz, zadowolony, że tak gładko przebiega ustalanie wspólnych celów. Rozejrzał się po swoich ludziach i tam wyczytał z ich min, że czegoś oczekują. A być może ustalili to już wcześniej, zanim Gabriel dotarł na siódme piętro apartamentowca?
- Czy mógłbyś pokazać nam jeszcze raz hologram ziemskiej kobiety? – Zapytał.
- Mówisz i masz – odparł z uśmiechem Gabriel. Zdjął z szyi medalion i rzucił go przed siebie.
- Jeden z żołnierzy Sylfoniusza już się zabierał, żeby przycisnąć go butem do podłogi, ale Gabriel powstrzymał go gwałtownym okrzykiem.
- Nie tą nogą! Hologram kobiety jest po lewej stronie!
- Gapili się w niego wszyscy jak zaczarowani. Pięciu trójokich Secetończyków, panów tej części kosmosu, nie mogło dłuższą chwilę oderwać wzroku od niezwykle pięknej postaci wyczarowanej przez Ortegę. Pierwszy ocucił się z oczarowania Sylfoniusz.
- Kiedy, przekażesz mi współrzędne statku Ziemiań?
- Wtedy, kiedy moja ojczyzna będzie wolna.
- Nie żartuj – podpuszczał go młody Orchis. - Tyle czasu każesz mi czekać na kobietę marzeń? Nie ufasz mi?
- W każdej chwili mogę ci dać tę, która schwytałem na północy Tuvimori.
- Nie - rozmyślił się Sylfoniusz – ta niech zostanie na przynętę dla Kamillona.
- W takim razie współrzędne przekaże dopiero jak Zerka będą wolne.
- Jesteś pewien, że statek Ziemiań nie rozplynie się w kosmosie do tego czasu? Jesteś w stanie to kontrolować?

- Ziemianie na pewno będą jej szukać. Dopóki jej nie znajdą, ich statek będzie w pobliżu.
- A gdzie on teraz jest? – Zadał pytanie Sylfoniusz. Sam jednak nie liczył na to, że Gabriel mu odpowie. Może i nawet z rozpędu coś by mu się wymknęło, ale ... Gabriel nie wiedział gdzie jest statek Ziemian. Domyślał się, że taki gdzieś w pobliżu jest. Ale tylko tyle. Gabriel Pilarion Ortega prowadził podwójną grę z dwoma zespołami szpiegów z Secetona. Pokera na śmierć i życie, którego stawką miała być niepodległość Planet Zerka. A poker jest taką grą, w której ten co nie blefuje, przegrywa.

-&!&-

W tydzień po wizycie Ortegi w hotelu „Plaza”, Kamillon lądował wczesnym rankiem, wynajętym raptorem średniej klasy, tuż pod kołem podbiegunowym Tuvimori. W centrum tak zwanych Tęczowych Lasów. Przyleciał tutaj, by wywiązać się z zawartej umowy.

-&!&-

Tęczowe lasy jak udało mi się wyczytać z ulotki reklamowej znalezionej na pokładzie raptora, rozciągały się na przestrzeni tysięcy kilometrów kwadratowych. Można było w nich znaleźć wszystko, co tylko zaczynało się na „nie”. A zatem: niedostępne, niewiarygodne, niezdołane no i niebezpieczne oczywiście. Było też kilkanaście zdjęć, ale głównie była to płatanina gąszczy i chaszczy. O małpach Kri, na które mieliśmy tu polować, ani słowa. Może to był przewodnik sponsorowany przez miejscowe koło przyjaciół zwierząt, a nie koło łowieckie?

- Ortega ostrzegł nas, że lądowisko będzie dość specyficzne w swoim stanie i wyglądzie. To dlatego, że nie zostało zbudowane przez inżynierów ale przez myśliwych, których mistrzowska klasa konstrukcji nie była najmocniejszą stroną. Owszem, spełniało najpotrzebniejsze funkcje powierzchni, dokowania i serwisu. Nasycone było jednak zachowawczym minimalizmem i niezbyt dużą dawką dbałości wykonania. Radosna prowizorka budowlana, zbudowana przez myśliwych i dla myśliwych. Nasz raptor odholowany został, przez wąsatego skrzata, rasy nieznannej, do szeregu latających dziwadeł, które zaparkowane zostały wcześniej pod ścianą dżungli. Zaskoczeniem i zupełnym kontrastem do tego, co oglądaliśmy na powierzchni, miało być to, co znajdowało się pod ziemią. Zanim jednak dotarliśmy pod powierzchnię planety, spotkała nas niemiła niespodzianka. O niej akurat Ortega, nie wspomniał. Tęczowa dżungla

przywitała nas zatęchłą przyduchą. Poprzez dysproporcje pomiędzy tlenem i azotem, o których wspominałem wcześniej mieliśmy problemy z oddychaniem pełną piersią. Panował tu specyficzny mikroklimat, który powodował, że koszula po kilku krokach, zaczynała przyklejać się do pleców, rękawy zaś same prosiły się o podwinięcie do wysokości łokci. Nie dziwiło mnie już, dlaczego większość metalowych urządzeń na lądowisku pokrytych jest grubą warstwą rdzy. Martwiłem się jak będziemy polować na tego Kri, jeśli przyjdzie nam wykonać większy wysiłek fizyczny podczas polowania. Znacznie lepiej poczuliśmy się, kiedy przeszliśmy przez służbę dekompresyjną i znaleźliśmy się w klimatyzowanym pomieszczeniu. Dość szerokim ale słabo oświetlonym metalowym trapem zeszlismy, jak mi się wydawało, kilkanaście metrów w dół. Do miejsca, które nazywało się recepcją albo przynajmniej na cos takiego wyglądało. Tam jakiś dziwoląg w szarym podkoszulku, zapytał nas czy mamy rezerwację. Nie kituje. Naprawdę użył słowa „rezerwacja”. A my oczywiście takowej nie mieliśmy, bo Ortega nic o tym nie wspomniał. Nagle obok nas pojawił się wysoki Latacz Hokkōla. I jakżeby inaczej. W tęczowym futrze Kri, tylko tak przerobionym, by nie kolidowało z jego skrzydłami.

- Secetończycy tutaj? – Zdziwił się.
- Mamy tourne po Tuvimori – wypalił Wiktoriusz – podobno ma tu być niezła impreza?
- I w dodatku z poczuciem humoru – powiedział z kwaśną miną Hokkōla, że niby wcale go to nie bawi. Zaraz też krzyknął w stronę recepcjonisty – Roy! Widziałeś tu kiedykolwiek jakiś Secetończyków?!
- Nigdy! – Odkrzyknął Roy.
- Hokkōla wyszczerzył w szerokim uśmiechu końskie zęby. Co miało znaczyć, że i nas tu być nie powinno. Latacz miał przytwierdzony do pasa ogromny miotacz. Niby przez przypadek a niby nie, odsłonił poły futra, żebyśmy dobrze zobaczyli, kto tu rządzi.
- To jak z tą rezerwacją? – Zapytał uszczypliwie – bez niej dalej nie wejdziecie.
- Są ze mną! – Rozległ się nagle głos Ortegi. Biegł korytarzem w samej piżamie z drugiej strony recepcji. Nie miał na sobie futra. Sprawiał wrażenie mocno zasapanego. Hokkōla zmierzył nas podejrzliwym wzrokiem.
- Macie szczęście – wycedził przez zęby. Tuż po tym dało się słyszeć szcęk zabezpieczanego na powrót miotacza.
- Nie przejmujcie się – starał się bagatelizować sprawę Ortega, kiedy szliśmy korytarzem prowadzącym w głąb bazy. – To strażnik wejścia. Takie ma zadanie. Nikt nie wejdzie do środka, jeśli nie ma rezerwacji.

- My nie mieliśmy.
- Ale byliście ze mną.
- A co byłoby gdybyśmy nie byli?
- Bylibyście już trupami. Hokkōla idealnie nadają się do tej roli. Są silni i szybcy. No i ...
- I co?
- I nienawidzą trójjokich z Secetona.
- To miło – zakpił Wiktoriusz. – Zapomnieli, że to my uczyniliśmy ich galaktykę cywilizowaną?
- Podbijając ich planety i zaprowadzając prawo Secetona?
- To nie tak – próbowałem włączyć się do dyskusji.
- A jak? – Zdziwił się Ortega.
- Nieważne – uciąłem temat i zaraz zmieniłem jego kierunek. – Co to za miejsce?
- Dziwiła mnie konstrukcja tego pseudo hotelu w samym środku dżungli.
- Dawno temu, rozbił się tutaj, stary międzygalaktyczny wycieczkowiec. Podobno właściciel, miał plan, żeby go podnieść i ponownie uruchomić, ale czas mijał i nikt się nim nie interesował. Prawdopodobnie policzył koszty jego wydobywania i wyszło mu na to, że ani wydobywanie ani remont się nie opłaca. Sytuację wykorzystali łowcy i przerobili go na swoją bazę. Niezły, co?
- Czy łowcy to, to samo, co myśliwi, o których wspominałeś wcześniej?
- Tak – potwierdził.
- Musiała to być duża katastrofa – oceniłem. – Z powierzchni lądowiska nie widać, że to wycieczkowiec.
- Zgadza się – potwierdził nasz przewodnik – grunt w całych Tęczowych Lasach jest grząski i podmokły. Podczas katastrofy część pokładów została zmiażdżona, ale ta część, która ocalała, wbiła się w grzęzawisko i została przerobiona na bazę łowców.
- To prawda, co mówił ten Hokkōla?
- To znaczy?
- Że nigdy nie było tu żadnych Secetończyków.

Ortega milczał chwile zastanawiając się w myślach jakby czytywał listę obecności z ostatnich kilku lat.

- Prawda.

Przeszliśmy poziomym korytarzem w głąb wycieczkowca, w kierunku, z którego przybiegł Ortega. Dotarliśmy do windy. Po zjechaniu trzech poziomów w dół, zatrzymaliśmy się przed kabiną, którą on dla nas wynajął. Było to całkiem komfortowe

pomieszczenie z łazienką, prysznicem i klimatyzacją. Spisał się na medal. Umówiliśmy się na spotkanie jeszcze tego samego dnia. To na nim mieliśmy uzgodnić warunki, na których my staniemy się właścicielami najpiękniejszej kobiety, którą kiedykolwiek ktokolwiek widział, a on stanie się właścicielem ... trzech skór farbowanych małp.

-&!&-

Niedługo jednak cieszyliśmy się spokojem. Jakoś we dwie godziny później podniósł się ogromny rwetes po korytarzach. Za drzwiami kabiny dało się słyszeć rumor mnóstwa podkutych butów, przekleństwa, nawoływania. Ale tak szybko jak hałas się pojawił, tak szybko ustał.

-&!&-

Z Ortegą umówiliśmy się o godzinie jedenastej. Czas jednak mijał, a Ortegi nie było. Nie było też z nim żadnego kontaktu. Ponieważ żaden z chłopaków nie miał ochoty, poszedłem sam na zwiad. Kiedy szliśmy tutaj rano, widziałem na naszym poziomie, tuż za windami, jakąś jadłodajnię, knajpę lub stołówkę. W każdym bądź razie, miejsce, w którym można usiąść i się posilić. Postanowiłem udać się w tamtym kierunku. Po wyjściu z kabiny i spotkaniu z pierwszymi mieszkańcami wycieczkowca, zacząłem się czuć odrobinę nieswojo. Niektórzy z nich, na mój widok, odruchowo odkładali dłonie na rękojeści swojej broni. Tak jakby bali się, że jak tylko ich minę, to strzelę im w plecy. I nie było żadnej różnicy, jeśli chodzi o rasę. Tak samo reagowali Hokkole, Sandorczyce, miejscowi, Zerkanie i różnej maści mieszańcy, których widziałem pierwszy raz w życiu. Dotarłem wreszcie do miejsca, które było celem mojej wędrówki. Panował tu dość spory tłok. Jak się okazało, nie była to tylko knajpa, ale coś w rodzaju miejsca, w którym łowcy przygotowywali swój ekwipunek przed wyruszeniem na polowanie w Tęczowe Lasy. Tu spożywali ostatni posiłek, tu wymieniali się uwagami, tu sprawdzali broń i ustalali plan polowania. Każdy lub prawie każdy z nich miał na sobie futro Kri. Ci którzy nie mieli go na sobie, trzymali je przerzucone przez ramię albo na kolanach w bezpośredniej bliskości. Próbowałem wtopić się w to towarzystwo. Na mój widok rozmowy szybko milkły. Coraz więcej par oczu zatrzymywało na mnie swój wzrok. A gęby mieli klasycznych wyrokowców. Jeden zakapior większy od drugiego. Ja Secetończyk, każdemu z osobna dałbym radę, ale temu towarzystwu razem, nigdy. Wydawało mi się, że tylko kwestią czasu jest, kto pierwszy strzeli. Ponad to wydawało mi się, że niektórzy z łowców

pojawiają się i znikają nagle. W pewnym momencie dostrzegłem, recepcjonistę Roy'a. Szeptał coś na ucho jakiemuś miejscowemu zakapiorowi. A żaden z nich nie spuszczał ze mnie oka podczas tego szeptania. Zaraz potem wymieniliśmy między sobą kilka zdań. Delikatnie zacząłem wycofywać się na bezpieczną odległość. Wystarczyłaby iskra żeby wybuchł ogień. Ostatnią odcinek drogi pokonałem już biegiem.

- Panowie! Nie jest dobrze! – Rąbnąłem drzwiami kabiny aż uszczelka zajęczała.
- Wiktoriusz z Ramzeliuszem zerwali się z koi.
- Co się dzieje? Ortega nas oszukał?
- Został zabity ten Hokkola, którego widzieliśmy rano przy wejściu.
- A taki miał być silny i szybki – lekceważąco odezwał się Wiktoriusz.
- Wiktoriusz, nie czas na kpiny – ostrzegłem go – recepcjonista Roy, który był z nim rozmawia, że Latacza zabili Secetończycy!
- Co?! – Wiktoriusz wybałuszył gały.
- Właśnie to! Pamiętasz jak pytałem Ortegę czy to prawda, że nigdy nie było tu żadnych Secetończyków?
- Powiedział, że my jesteśmy pierwsi – złapał się za głowę – ale to by znaczyło, że ... .

Nagle rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Błyskawicznie odbezpieczyliśmy broń i zajęliśmy pozycje obronne. Klamka drgnęła w prawo, w lewo. Drzwi otworzyły się, ale nikt nie wstawił nogi poza ich próg do środka. Dopiero po chwili, do kabiny wtoczył się Gabriel Pilarion Ortega.

- Co tu taka stypa? – Zagaił zdziwiony. To zdziwienie, jak na mój gust, tak mu średnio wyszło. – Dziś jest wasz wielki dzień! Staniecie się właścicielami najpiękniejszej istoty, jaką świat widział. To znaczy – zachnął się – nie wy, tylko wasz król.
- Spojrzeliśmy po sobie. Chyba nie było możliwe, żeby Ortega nie wiedział, co wydarzyło się w bazie. Ale przełknąłem to dążąc do swojego celu.
- A właśnie – podjąłem wątek biznesowy – zanim dobijemy transakcji, chcemy zobaczyć hologram kobiety.
- Nie ufacie mi?!
- Biznes to biznes. Ty znasz towar, dostaniesz swoje skóry. My swojego towaru nie znamy, nie widzieliśmy go. Nie kupujemy kota w worku.
- Dobrze – spokojnie odparł Ortega.

Rzucił medalion zdjęty z szyi na podłogę, tak samo jak zrobił to niegdyś w apartamentowcu Kompani Wschodnio- Zerkańskiej. Nacisnął lewą nogą medalion i zaczął tworzyć obraz kobiety. Szło mu to dość sprawnie wzięwszy pod uwagę fakt, że tworzył nie zdjawszy futra. Po chwili z kolorowych dymów zaczął wyłaniać się, znany nam z poprzedniej prezentacji obraz. Tylko, że ten był jeszcze piękniejszy niż tamten. Ortega swoimi tłustymi paluchami wyczarował boginię! To było niesamowite. W jednym momencie zapomniałem o zagrożeniu, jakie czaiło się na nas za drzwiami, a w które być może z rozmysłem, wpakował nas Ortega. Za to trzeźwość umysłu zachował Ramzeliusz.

- Potrzebny nam kod źródłowy – zaskoczył Ortegę.
- Żartujesz? – Prychnął Ortega i już zaczął się zabierać do niszczenia hologramu, ale wtedy wymierzyłem w niego swoją broń.
- Albo dostaniemy kod źródłowy albo pewne rzeczy skończą się w tej kabinie na zawsze.
- Nie mogę wam dać kodu!
- A to, dlaczego?
- Bo nie, mogę!
- Są jeszcze inni kupcy?!
- No ... nie ma. – Wydukał.
- To, w czym problem?
- To jest tajemnica handlowa – bronił się. Widział jednak, że nie opuszczam broni i nie przestaje celować w jego głowę. Musiał uważać, a zarazem szacować w myślach, co mu się bardziej opłaca. Jeśli ze zdenerwowania albo przez nieuwagę omsknie mi się palec, nie będzie miał już, kto negocjować niepodległości Planet Zerka. - Mogę go wam napisać na kartce – powiedział w końcu zrezygnowany.

Zdawało się, że przegrywa swoją sprawę, a ilość warunków stawianych mu przez różne strony, zaczyna burzyć jego patriotyczny plan.

- Na kartce? – Zdziwił się Wiktoriusz. – Kto dziś używa kartek?
- Ja używam. Na kartce albo wcale.
- Ale dlaczego akurat, na kartce?
- Bo na kartce, nie będzie ścieżki dostępu.

Zaczęliśmy gorączkowo szukać jakiegoś skrawka papieru. W końcu Wiktoriusz, wyjął z kieszeni bilet, na który zaparkowaliśmy w centrum Tuvimori nasz statek.

- A długopis?
- Rany. – Jęknąłem – A pisać to ty w ogóle umiesz?

Znowu zaczęliśmy się gorączkowo obmacywać po uniformach. Pierwszy triumfalnie wykrzyknął Ortega.

- Mam! – Zaraz potem wygryzmołił z mozołem na naszym bilecie sekwencje liter i cyfr.
- Znasz kod na pamięć? – Zdziwił się Ramzeliusz.
- Tak się składa, że znam – odpalił zadowolony z siebie. – Czy to załatwia sprawę?
- Załatwi wtedy, kiedy stwierdzę, że kod jest oryginalny.

Ortega zrobił kwaśną minę.

- Coraz trudniej się z wami negocjuje.
- Nie masz prawa narzekać. To ty do nas przyszedłeś. Nie my do ciebie.
- Czy teraz możemy już przejść do szczegółów związanych z polowaniem? – Zapytał.
- No właśnie – podjadłem – skoro nam tak dobrze idzie, to może pokazałbyś hologram Kri? Byłoby dobrze, gdybyśmy wiedzieli jak wygląda zwierzę, na które mamy polować. Nie sądzisz?
- Hologram Kri nie istnieje.
- Nie chce mi się wierzyć. Tylu łowców jest w bazie i żaden nigdy nie nagrał Kri?
- Kri ciężko zauważyć.
- To jak mamy go upolować?
- Nie pójdziecie sami. Opłaciłem tropicieli. Będą na was czekać na powierzchni przy głównym wejściu do Lasów.

Któryś już raz spojrzeliśmy po sobie. Jeśli miał na myśli tych zakapiorów, których widziałem niedawno w knajpie, to czeka nas niezła zabawa.

- Ok. – Zgodziłem się. – O której, ma zacząć się polowanie?

**-&!&-**

Po spotkaniu z Kamillonem, niesamowicie zadowolony z siebie Gabriel Ortega, wracał do swojej kabiny. Nagle coś złapało go za kołnierz i wciągnęło za najbliższe drzwi. Szarpnięcie było tak silne, że o mało się nie przewrócił, a tuszy przecież był słusznej.

- Na rany koguta! – Zawył Gabriel na widok Sylfoniusza i jego ludzi, – co wy tu robicie?!
- Gdzie jest Kamillon? Mów! – Potrząsnął nim Secetończyk.
- Czy wyście zwariowali?! – Bronił się Gabriel – wszystko popsujecie! Cały plan szlag przez ciebie trafi – tu zwrócił się wściekły bezpośrednio do Sylfoniusza.
- Mnie interesuje Kamillon.

- Gabriel wyrwał się z uścisku. Był załamany. Niepodległość Planet Zerka w ogóle nie obchodziła Sylfoniusza. Jego interesowało tylko wyeliminowanie swojego konkurenta w drodze do chwały Pałacu. Było mu przykro, że od morderstwa zależy niepodległość jego ojczyzny. Choć to tylko Secetoniccy mieli zabijać się między sobą.
- Kamillon jest w bazie – odparł – tu, niedaleko.
- Sam?
- Nie. Są z nim jego towarzysze. Ale tu nie będzie żadnego zabijania! – Powiedział ostro. - Wystarczy, że rano zabilicie Hokkola. Cała baza o tym mówi.
- Niepotrzebnie się stawiał.
- Po co w ogóle wchodziliście do środka? – Nie mógł zrozumieć Gabriel. – Przecież umawialiśmy się, że Kamillon ma zginąć na polowaniu. Tak? No tak, czy nie?
- Taaa ...
- No to niech tak zostanie. Wystawię ci go. Tylko nie tutaj! - Znowu lamentował. – Nie w bazie!
- O której ma zacząć się polowanie?
- Za trzy godziny. – Powiedział już spokojniej. - Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby rozliczyć się ze swoim wrogiem.
- Doskonale – pochwalił go Sylfoniusz. - Mój ojciec – pociągnął mimochodem – jest zadowolony ze współpracy z tobą. Kazał mi przekazać, że flota Secetona przeszła już przez terytoria Zerka i szykuje się do ostatecznej rozprawy z Waregami.
- Wiem. Sam wydałem polecenie, żeby do was nie strzelano.
- Może dostaniesz od nas kiedyś jakiś medal? – Snuł mgliste plany Sylfoniusz.
- Nie chce waszych medali. Chce tylko niepodległości dla ... .
- Niepodległość, niepodległość, ty w kółko swoje – młody Orchis wydawał się być znużony zapalem Gabriela. Gabriel zaś podejrzewał, że tamten w ogóle tego słowa nie rozumie, bo nigdy nie żył w niewoli. Ale w tej chwili gotów był wiele przełknąć. Klocki układanki powoli zaczynały do siebie pasować. Flota Secetona bez wystrzału przeszła przez terytoria Zerka, gdzie dotychczas nie miała wstępu bez walki. Za trzy godziny miał zginąć Kamillon w upozorowanym wypadku na polowaniu. W ten sposób miał się dopełnić drugi warunek. Tuż po nim, Planety Zerka miały stać się niepodległe. I od Waregów i od Secetona. Co prawda był jeszcze trzeci warunek dotyczący współrzędnych ziemskiego statku, gdzie wedle zapowiedzi Ziemiarki znajdowały się też inne kobiety jej gatunku, ale ten warunek nie dotyczył bezpośrednio odzyskania niepodległości. To miał być prywatny

łup Sylfoniusza. A to, że Gabriel wciąż nie znał tych współrzędnych, to nie było aż w tej chwili takie ważne.

-&!&-

- Masz? – Skoczyliśmy razem do Ramzeliusza, jak tylko zamknęły się drzwi za Ortega.
- Mam. Co mam nie mieć – odpowiedział ze stoickim spokojem Ramzeliusz. Jego palce w tempie pociągu ekspresowego, biegały po klawiaturze podręcznego urządzenia przechwytyjącego fale holograficzne. – Dobrze, że tak długo trzymałeś go na muszce. Inaczej by się nie udało. – Pochwalił mnie.
- Hmm ... - nagle przestał stukać i zaczął się zastanawiać. – Medalion pochodzi z Zerka ...  
- informował nas, koncentrując cały czas uwagę na urządzeniu, – ale oprogramowanie wiecie skąd jest?
- Z Secetona? – Wypaliłem i byłem pewien, że jest to strzał w dziesiątkę.
- Dokładnie. Takiego oprogramowania nie kupi się w ogólnym obiegu.
- To dlatego, nie chciał się zgodzić na udostępnienie kodu źródłowego! A to cwany lis! - Wrzasnął Wiktoriusz.
- Tylko, że to by znaczyło, że mogli mu je udostępnić ludzie Sylfoniusza – odpowiedziałem.
- Prawdopodobnie tak – potwierdził Ramzeliusz. – Pytanie, dlaczego?
- Ortega i Sylfoniusz zastawiają na nas sidła – powiedziałem w końcu głośno to, czego każdy z nas i tak się domyślał. - Chcą, żebyśmy polowali na tęczowe małpy Kri, a tymczasem jest to polowanie na nas!
- Tylko, dlaczego mieliby urządzać całą tę mistyfikację?
- Chodzi im o mnie – poprawiłem się. – Wiecie przecież, że od jakiegoś czasu, tylko dwa potężne rody Secetona, rywalizują o wpływy w Pałacu. My Kamillonowie i ród Orchisów. Mój dziad i ojciec mają wielkie zasługi wobec tronu królewskiego. Przysiągłem im, że będę kontynuował ich dzieło. Niestety wygląda na to, że nie wszystkim jest to na rękę.
- Myślisz, że ród Orchisów jest aż tak zachłanny?
- Pomyśl Wiktoriuszu, co się stanie, jeśli przypadkiem zginę w Tęczowych Lasach? – Zawiesiłem głos. – I co się stanie, jeśli stary Orchis dowódca wszystkich flot na Secetonie, pokona w końcu Waregów?
- Ród Orchisów będzie największym przyjacielem tronu – odpowiedział sam sobie.

- Mało tego – kontynuowałem, – jeśli to jest faktycznie pułapka i to jest polowanie na mnie, to, kto dostarczy Bady Jarowi najpiękniejszą istotę, jako kandydatkę na żonę?

- Młody Orchis.

Ramzeliusz cały czas próbuje złamać zabezpieczenie, żeby dostać się do kodu źródłowego.

- Ile mamy czasu? – Pyta. – Spoglądam na zegarek – Jakież dwie godziny.

- Może być ciężko - mamrocze pod nosem.

- Przecież to jest oprogramowanie z Secetona – dziwi się Wiktoriusz.

- Właśnie ... – kiwa głową, nasz sztabowy specjalista – byłoby łatwiej gdyby nie było.

Chłopkom nie mówię głośno. Ale jak Sylfoniusz rzeczywiście będzie chciał mnie zgładzić, to pewnie nie będzie chciał mieć na to świadków. Ich los jest tak samo niepewny jak mój.

- No to teraz wiem, dlaczego Ortega nie wspomniał słowem, że rano został zabity Hokkola!

Dołożył, kolejny klocek do układanki Wiktoriusz.

- Myślał, że my o tym nie wiemy, a nie powiedział, żebyśmy się nie zorientowali, że Sylfoniusz jest w pobliżu – odezwał się Ramzeliusz, wciąż nie odrywając wzroku od klawiatury i ekranu.

Czas płynął nieubłaganie, Ramzeliusz nie mógł odczytać pliku. Za chwilę mieliśmy wyjść na umówione spotkanie z tropicielami, a wciąż byliśmy w lesie. Ups. To znaczy mieliśmy dopiero do niego iść. Ale ..., póki była szansa, trzeba było starać się ją wykorzystać.

- Wiktoriusz! – Olśniło mnie – pokaż bilet.

- Mój kompan natychmiast wyjął kawałek zadrukowanego kartonika. Przecież to na nim Ortega zapisał z pamięci kod źródłowy. Ramzeliusz błyskawicznie wklepał go do urządzenia. Czekaliśmy chwilę.

- To chłam! Nic nie warty gówniany zestaw cyfr! – Zmiał go i rzucił w kąt ze złości.

- Może coś źle wpisałeś? – Zapytałem.

- Chcesz sam spróbować?!

- Raczej nie – wycofałem się – ty się na tym najlepiej znasz.

Poszedłem i podniosłem pognieciony bilet parkingowy, a potem wsunąłem go sobie do kieszeni. Czymś przecież trzeba będzie wrócić do domu. O ile będzie nam dane wrócić do domu.

- Ale zaraz!!! – Ramzeliusz aż podskoczył na fotelu. Znowu zaczął ze zdwojoną energią tłuc w klawiaturę. Przyglądaliśmy mu się resztkami nadziei.

- Jest! Jest! – Wrzasnął wreszcie. I jeszcze szybciej zaczął przebierać palcami. Wygadywał przy tym pod nosem, tylko sobie znane procedury, ścieżki. Prowadził obliczenia w myślach.
- Ona jest tutaj! – Oznajmił wreszcie w geście triumfu.
- Odczytałeś kod?
- Tak. Przecież mówię, że tak.
- Ale ty masz łeb kolego! – Gwizdnął z podziwu Wiktoriusz.
- No ba! Nie na darmo tkwiłem pięć lat w królewskiej akademii.
- To może powiesz jeszcze gdzie ona jest?
- Ramzeliusz pewny siebie wykonał parę szybkich ruchów.
- Proszę bardzo – oznajmił, odwracając ku nam monitor – poziom Zero, kabina numer cztery. Całkiem niedaleko recepcji.
- To fantastyczne – nie mógł wyjść z podziwu Wiktoriusz.
- No nie do końca – stonowałem jego entuzjazm – tam został zrobiony hologram, a to nie daje gwarancji, że najpiękniejsza kobieta wciąż też tam jest. Poza tym musimy liczyć się z tym, że możemy spotkać Sylfoniusza.
- To co robimy?
- Spojrzałem na zegarek.
- Mamy 20 minut!

Biegiem puściliśmy się poprzez korytarze, trapami na wyższy poziom. Potem na następny i jeszcze jeden. W końcu znaleźliśmy się w głównym holu wycieczkowca. Od drzwi do drzwi, szybko sprawnie, ale nie nerwowo, szukamy kabiny nr cztery. Musieliśmy zdążyć zanim Ortega i tropiciele zorientują się, że chcemy wywieźć ich w pole. Kabina nr cztery nie różni się niczym z zewnątrz od innych kabin. Ani nie jest jakoś specjalnie opisana ani specjalnie zabezpieczona. Ot, zwykła kabina, w korytarzu pełnym zwykłych kabin. Wykorzystując lukę w ruchu, delikatnie rozpruwamy zamek. Niestety widać gołym okiem, że przy nim majstrowaliśmy. Drzwi otwierają się ciężko. Na szczęście nie posiadają dodatkowych zabezpieczeń typu łańcuch, czy alarm. Wpadamy do środka. Teraz dopiero okazuje się, że nie jest to zwykła kabina. To jest ... apartament zatopionym w bagnach wycieczkowcu. Inaczej nie da się tego opisać. Jak okiem sięgnąć przepych. Atlasy, zdobienia, akwaria na całej długości ścian, a nawet fontanna! Pełno luster, lamp ksenonowych tworzących grę światła i cieni. Luksus pełną gębą. Zaskoczenie mija szybko, kiedy przypominamy sobie, po co tutaj przyszliśmy. W pierwszym pomieszczeniu, a jest to obszerny salon nikogo nie znajdujemy. Na wszelki wypadek

otwieramy napotkane boczne drzwi do skrytek i łazienek, a nawet duże skrzynie na ubrania, tak żeby nie było wątpliwości, że przeoczyliśmy w jakimś schowku najpiękniejszą kobietę.

- Na Secetona! – Zachwyca się nagle Wiktoriusz – patrzcie, co tu jest!

Wzdłuż ścian wewnętrznego korytarza ciągną się szafy. Od podłogi aż po sufit. Wiktoriusz rozsuwa, co jakiś czas rzędy drzwi na boki, a naszym oczom ukazuje się wielka kolekcja futer Kri. Wiszą jedno przy drugim. Ciasno w dwóch piętrach.

- Będzie tego parę setek!

- Trafiliśmy do luksusowego apartamentu Gabriela Ortegi. - Domyślam się.

W następnym, nie mniejszym pomieszczeniu, znowu napotykamy szafy i znowu historia się powtarza. Wszystkie szafy upchane są po brzegi futrami Kri. Za to nigdzie nie ma istoty, którą mamy nadzieję tu znaleźć. Został ostatni mały pokój, stolik, krzesło, kanapa i złota klatka. A w niej pierwsze co dostrzegam, to... przerażone oczy najpiękniejszej kobiety jaką świat widział. Musiała słyszeć, jaki hałas robimy i nie wiedziała, co on dla niej oznacza. Niebezpieczeństwo, czy ratunek. Nie wiedziała, co możemy jej zrobić, co jej grozi i z jakim zamiarem tu przyszliśmy. Czasu jednak na tłumaczenie nie było. W miarę jak zbliżaliśmy się do klatki, zaczęła mówić do nas w swoim języku. Coraz gwałtowniej. Potem zaczęła krzyczeć, piszczeć, wrzeszczeć. Z zamkiem do klatki, poradziliśmy sobie tak samo łatwo jak z zamkiem do kabiny. Swoją drogą, pan Ortega dość nieroztropnie zabezpieczał swoje skarby.

Po otwarciu klatki kobieta zaczęła okładać nas swoimi delikatnymi rękoma. Ramzeliusz, który najsprawniej zabierał się do ujarzmania tej słodkiej bestii nie uważał. W pewnym momencie dostał takiego kopa między nogi, że aż zgiął się w pół. W końcu udało nam się ją schwytać i zakneblować. Przestała się drzeć wniebogłosy. Pierwszy etap operacji zakończył się sukcesem. Teraz musieliśmy się stąd wydostać. Czasu wciąż było niewiele. Spojrzałem na zegarek. Ortega z tropicielami pewnie się już zastanawia, dlaczego nie ma nas w umówionym miejscu.

- Teraz! – Dałem znać reszcie ekipy, wyglądając na korytarz i oceniając, że właśnie w tym momencie mamy szansę przedrzeć się w stronę wyjścia. Biegłem przodem, za mną Wiktoriusz. Na końcu Ramzeliusz z porwaną przez nas kobietą. Na wszelki wypadek zawińliśmy ją w narzutę ściągniętą z kanapy. Wciąż jednak wrywała się i Ramzeliusz wyglądał bardzo dziwnie ze swoim ruszającym się pakunkiem pod pachą. Minęliśmy paru zaskoczonych łowców. Do wyjścia było już naprawdę niedaleko, kiedy rozległ się okrzyk.
- To oni!

Rozpoznałem ten głos od razu. Należał do recepcjonisty Roy'a. Cokolwiek ten okrzyk nie miałby oznaczać, nie brzmiał dobrze. Był jak alarm, który ma obudzić bazę, bo dzieje się w niej coś złego. Recepcjonista Roy, drugi raz nie zdążył krzyknąć. Powaliłem go w błyskawicznym skoku i strzeliłem z łokcia w czerep tak, że stracił przytomność. Wiktoriusz starł się z Sandorczykiem, który pełnił rolę strażnika w miejsce zabitego Hokkola. Komorę dekompresyjną pokonaliśmy bez zachowywania koniecznych procedur. Aby opóźnić pościg uszkodziliśmy mechanizm filtrów. Dzięki temu roboty pokładowe nie mogły wyrównać ciśnienia i blokowały otwarcie drzwi od wewnątrz bazy, sygnalizując uszkodzenie komory.

Na lądowisku lało jak z cebra. Pośród błota, kładką potem pomostem, przedzieraliśmy się w pobliże statków. Myliłby się jednak ten, który pomyślałby, że to koniec naszych tęczowych przygód. Z zielonej lepianki zbudowanej z mchu i paproci wybiegł zagradzając nam drogę wąsaty skrzat, o którym wspominałem wcześniej. Widząc nasz pośpiech, wyczuł, że święci się coś niezwykłego. Trudno mi teraz orzec, czy żądał uiszczenia zapłaty, za miejsce parkingowe, czy też wiedział już o zamieszczeniu w bazie. Jako, że biegłem pierwszy, a nie było czasu na konwenanse, zwyczajnie zepchnąłem go z kładki. Wpadł w błoto. Na wszelki wypadek zatrzymałem się przed nim, przepuszczając drużynę przed siebie. Skrzat jedną ręką pomagał sobie wydostać się z pułapki a drugą, począł gmerać w górnej kieszeni kurtki. Wyjął z niej gwizdek i zanim zdążyłem mu go wytrącić z dłoni, zadał z całych sił. Rozejrzałem się niespokojnie wokół i natychmiast zauważyłem, że dżungla zaczęła się ruszać. Nie drzewa. Ale jakby poszycie dżungli. Jakaś masa traw, mchu i roślin zaczęła wlewać się na płytę lądowiska. Ile sił w nogach zacząłem biec za chłopakami. Nie było to łatwe, ponieważ deszcz nie zelżał ani na chwilę i łatwo było o wywrotkę. Kiedy do raptora, nie było dalej jak sto metrów, ujrzałem przed sobą mgliste wybuchy. Trudno mi to inaczej nazwać. Wyglądało to jak bieg dorosłych mężczyzn przez polanę pełną purchawek, które po nadeptnięciu stopą, wybuchają prawie bezgłośnie, wyrzucając jednocześnie ze swego wnętrza jasno żółto-zielony obłok mgły. Początkowo myślałem, że to jakieś świetle refleksy w ścianie deszczu. Spojrzałem pod stopy. Patrząc wcześniej na dżunglę, oceniłem z daleka, że to jej poszycie zaczęło wsuwać się płytę lądowiska. Tymczasem na odgłos piszczałki, z dżungli ,jak mrówki wypełzały szybko przebijając kończynami, żywe stworzenia. Mniej lub bardziej zielone w swojej masie. Szły jeden przy drugim. Jakby bały się zagubić w tej niecodziennej wędrówce. Ich kruchość sprawiała, że pod naszymi stopami rozpadały się, wyrzucając z siebie kolorową mgłę. Łatwość z jaką je niszczyłem spowodowała, że niepokój zastąpiła nadzieja, że

pokonamy i tę przeszkodę. Spojrzałem jednak przed siebie i od razu zrozumiałem, na czym polega niebezpieczeństwo. Im więcej niszczyliśmy w biegu stworzeń wezwanych na pomoc dla wąsatego skrzata, tym mniej było widać, co dzieje się wokół. Na szczęście do raptora było już naprawdę niedaleko a lejący deszcz przyduszał mgłę do ziemi. Śluzę wejściową, co prawda otwieraliśmy na wyczucie znajomych kształtów pod ręką. Szybko jednak znaleźliśmy się w środku. Wiktoriusz odpalił raptora. Będąc zaledwie parę metrów nad ziemią spostrzegłem skrzata, który, stał ponad żółto-zieloną mgłą, na podwyższeniu, które było czymś w rodzaju miejscowej wieży kontrolnej. Nie umiem odczytać jego myśli. Na jego miejscu byłbym zły, że nie udało mu się nas zatrzymać.

-&!&-

Nie byłem pewien jak szybko nasi przeciwnicy zorientują się i jak szybko ruszą za nami w pogoń. Element zaskoczenia póki co, był po naszej stronie i musieliśmy zrobić wszystko, żeby go dobrze wykorzystać. Nisko nad Tęczowymi Lasami przemykaliśmy w kierunku centrum Tuvimori na międzygalaktyczne lądowisko, na którym stał nasz prawdziwy secetoński statek. Raptora zaparkowaliśmy na płycie w pierwszym wolnym miejscu, jakie udało nam się znaleźć. Ustaliliśmy, że to ja pobiegnę sprawdzić, czy nie spotkają nas niezamawiane złe niespodzianki, na ostatniej prostej do statku. Ostrożności nigdy za wiele. Mieliliśmy przewagę w czasie i warto było to wykorzystać. Ramzeliusz, Wiktoriusz i najpiękniejsza kobieta mieli czekać w wynajętym raptorze. Nie było mnie minut piętnaście. A potem trzydzieści. Jak na złość rozpętała się nad tą częścią planety telemetryczna burza. Granatowo-sine niebo, co chwila rozdzierał huk błyskawic. Rozwój wypadków zmusił mnie w końcu na powrót do raptora.

- Kamillon, co się dzieje? – Ramzeliusz z daleka próbował przekrzyczeć burzę - Kamillon!
- Wydarł się w końcu widząc moje zrezygnowanie.

Odwróciłem się na pięcie, zatrzasnąłem właz śluzy.

- Szkoda słów – machnąłem ręką.
- Spojrzeli po sobie zaskoczeni.
- Dlaczego?
- Ten sukinsyn – zrobiłem wymowną przerwę - handlarz skórami, ukradł nam statek.

-&!&-

- To jest ... – pokazałem im bilet, wyjmując go z górnej kieszeni kurtki - ... bilet parkingowy. Po minie Ramzeliusza widziałem, że nie bardzo wie, do czego zmierzam. Odwróciłem go dwa razy dookoła, żeby dobrze widzieli. Był to bez wątpienia bilet. Nawet widoczny był na nim kod, który Ortega w naszej kabinie na wycieczkowcu zatopionym w bagnach, długopisem napisał.
- No bilet – potwierdził Ramzeliusz – I co?
- No i nic – starałem się zachować spokój. – To jest bilet tyle, że nie nasz.
- Jak to nie nasz? – Zdziwili się. – A czyj?
- Wiktoriusz zabrał mi z dłoni przesiąknięty deszczem bilet parkingowy. Rozprostował go. Po czym zaczął czytać.
- Raptor klasy A2, sektor B, poziom 5 miejsce 31, wynajęty przez : Gabriel Pilarion Ortega? - Wiktoriusz zzieleniał uniósł wzrok - Ale ... ale ... jak to się stało? – Wydukał.
- Podmienił nam bilet. W bazie łowców dostał do ręki nasz bilet, ale potem jak wszyscy szukaliśmy czegoś do pisania, sam wsunął rękę do kieszeni i razem z długopisem wyjął inny. Wykorzystał nasze zainteresowanie hologramem kobiety i tym, że dam nam kod źródłowy.
- Może to zwykły przypadek? Zobacz. – Wiktoriusz odwracał pomięty bilet na wszystkie strony - On się niczym nie różni od naszego.
- Przykro mi – pokręciłem głową. – Jeśli był w zмовie z Sylfoniuszem to prawdopodobnie wiedział, że Orchis chce nas zabić. A ponieważ jest bystry, trzymając nasz bilet w ręku szybko ocenił, że nie będzie nam już potrzebny. I go podmienił zyskując za darmo szybki statek do lotów międzygalaktycznych.
- No tak ale, sam nie mógł nam ukraść statku. Kiedy miałby to zrobić? Przecież był z nami w bazie.
- Sam tego nie zrobił. Rozmawiałem obsługą lądowiska. Przysłał tu swoich ludzi. Wszyscy ubrani w tęczowe skóry Kri. Odlecieli godzinę temu.
- Jasna ch...a! – Zaklął Ramzeliusz - Ale jak wydali im nasz statek?
- A co ja, wróżka jestem? Fakt jest taki, że nie mamy statku i nie mamy czym, wrócić do domu.
- To katastrofa - zajęczał Wiktoriusz.

Gdyby nie brak łączności mógłbym spróbować wezwać na pomoc mojego ojca, wielkiego Kamilliusza ale jakakolwiek łączność z Secetonem istniała dopiero od granicy naszych stanic wojskowych. Stamtąd można było połączyć się z kimkolwiek

w ramach imperium, nadać wiadomość lub nawet wysłać hologram. Tu w galaktyce Regla, takich możliwości nie było. Może gdybym był Sylfoniuszem i miał za ojca dowódcę całej floty, to mógłbym to jakoś wykorzystać. Wojsko pewnie ma swoje urządzenia i kanały łączności. Ale Sylfoniuszem nie byłem i nasza sytuacja była trudna. Ewentualny kontakt z ojcem i tak traktowałem, jako całkowitą ostateczność. Byłem zbyt dumny na to, żeby prosić o pomoc lub w ogóle przyznać się, że coś idzie nie tak jak powinno.

- A gdzie kobieta?
- Siedzi w sterówce.
- Tak po prostu?
- Uhm – potwierdził.

-&!&-

Tymczasem na północy Tuvimori w Lasach Tęczowych za sprawą Sylfoniusza syna Orchisa wiele się działo. Po spotkaniu z Ortegą i uzgodnieniu miejsca oraz sposobu zabicia Kamillona, Sylfoniusz i jego ludzie zostali wyprowadzeni na zewnątrz bazy przejściem znanym tylko Ortedze. Po zabiciu Hokkōla nie mogli ryzykować spaceru do wyjścia głównym holem. Ryzyko było zbyt duże w stosunku do celu, jaki mieli do zrealizowania.

Potem wszystko szło gładko aż do momentu, kiedy to Kamillon nie pojawił się w umówionym miejscu. Czas płynął, ludzie Sylfoniusza nerwowo spoglądali to na Ortegę, to na zegarki. A Kamillona jak nie było tak nie było. W końcu Gabriel wiedziony złym przeczuciem postanowił sprawdzić, co się dzieje. Szybko wrócił do bazy łowców i zjechał, na poziom trzeci. Do kabiny Secetończyków, którą sam dla nich wynajął. Przyłożył swoją kartę do czytnika. Była to karta, która otwierała wszystkie drzwi w tej bazie. Ale nie tym razem. Drzwi pozostały zamknięte. Był zły na siebie, że stracił czujność niezbędną do tego, aby cały misterny plan się powiódł. Być może ten brak koncentracji spowodowany został zręczną sztuczką, jaką wykonał w kabinie Kamillona kradnąc mu bilet parkingowy. Ale jak mniemał, wkrótce i tak nie byłby mu do niczego potrzebny. Jego statek rdzewiałby na lądowisku, aż wreszcie zarząd usunąłby go stamtąd sprzedając na jakowejś nędznej licytacji, za jakieś nędzne pieniądze.

Ponieważ drzwi kabiny nie ustępowały, Gabriel dał znać umyślnemu chłopakowi, by sprowadził narzędziowca obsługującego bazę. Wkrótce u drzwi kabiny pojawił się jego zaufany człowiek. Zwolnił zamek. Gabriel nie do końca wiedział, czego może spodziewać

się wewnątrz. Na pewno nie chciał znaleźć tam żadnych trupów. A to nie było wykluczone, jeśli żądny krwi Sylfoniusz powróciłby do bazy i odnalazłby kabinę Kamillona. W przypadku tego narwańca i takie rozwiązanie było możliwe. Na szczęście trupów w środku nie było. Gabriel rozejrzał się uważnie. Na podłodze znalazł małe urządzenie podobne do zabawki „jojo”. Obracał je chwile w palcach, po czym pokazał człowiekowi, który był z nim. Ten zaś po krótkich oględzinach objaśnił mu, że jest to moduł urządzenia do przechwytywania kodu źródłowego.

Gabriel nie namyślając się pobiegł pędem do poziom zero, do kabiny nr cztery. Swojej kabiny. Dokładnie tej, w której więził pojmaną trzy miesiące temu ziemiankę. Przeczynał, że nie jest dobrze i że sytuacja zaczyna mu się wymykać spod kontroli. Już z daleka zauważył, że zamek do kabiny jest rozpruty. W środku czekało na niego najgorsze. Kobiety nie było tam gdzie powinna być. Domyślił się, że Kamillon za pomocą modułu deszyfrował kod, odnalazł i porwał ją. To zaś oznaczało, że właśnie w tej chwili niepodległość Planet Zerka szlag trafił. Nie było jednak czasu na lamentowanie. Gabriel musiał szybko działać. Stał się kowalem, którego ręka nieopatrznie wylądowała na kowadle. Musiał teraz myśleć o Sylfoniuszu, który przyczajony ze swoimi zabijakami, czekał na drodze leśnego duktu na swoją zdobycz. Wkrótce i Sylfoniusz straci cierpliwość. Wywiedziony w pole, zdenerwuje się i sytuacja stanie się bardzo groźna.

Gabriel pobiegł w kierunku wyjścia. Tam ekipa remontowa starała się naprawić uszkodzoną komorę dekompresyjną. Recepcjonista Roy wciąż był wybudzany ze śpiączki, a pobity Sandorczyk zdążył wydukać tylko, że zrobili to Secetończycy. Gabriel zakręcił się na pięcie i pędem wrócił do kabiny. Kluczem schowanym za lampą otworzył przejście. To samo, którym wcześniej wyprowadzał na powierzchnię Sylfoniusza z ludźmi. Tak szybko jak tylko potrafił, zaczął wrzucać do niego wszystkie skóry tęczowych Kri, które wisiały w jego szafach. Łącznie 497 sztuk. I już miał zamknąć przejście, kiedy jego instynkt łowiecko – zbieracki przypomniał mu o jeszcze jednej rzeczy. A mianowicie atrapie ziemskiego zegarka. Zabrał go najpiękniejszej kobiecie w dniu jej uprowadzenia. Na razie nie wiedział, do czego służy. Kobieta przywiązywała do niego jednak dużą wagę i musiała to być cenna rzecz. On zaś był handlarzem i nie zostawiał cennych rzeczy od tak sobie. Na przepadek.

Tymczasem Sylfoniusz, zasadziwszy się w badyłach na drugim dukcie za bazą od strony zachodniej, czekał w napięciu na to, co miało za chwilę nastąpić. Był tak pewny swego, że co chwila wychodził z chaszczy na drogę i wypatrywał, czy aby nie zbliża się jego ofiara. Jak wiemy, ofiarą losu miał być w tym przypadku Kamillon. Jego zabicie, a

potem upozorowanie wypadku, miało raz na zawsze zakończyć zapędy Kamillonów w progi pałacu Bady Jara. Odtąd niepodzielnie, tylko ród Orchisów miał konsumować tam swe wpływy. W przypadku zaś braku potomka królewskiego w linii męskiej, były nawet widoki na tron Imperium Secetona. Ale podobnie jak wcześniej, w przypadku Gabriela czas mijał, a na drodze nikt się nie pojawiał. Zanim Sylfoniusz podjął decyzję o wyjściu swego oddziału z badyli, Kamillon z uprowadzoną kobietą był już w drodze do centrum Tuvimori, a Gabriel Ortega w pośpiechu pakował swoją kolekcję skór Kri do tajnego tunelu. Młody Orchis dotarłszy przed wejście do bazy, próbował dostać się do środka, ale tam ekipa remontowa wciąż nie uporała się z uszkodzoną komorą dekompresyjną. Zaczął, więc szukać owego tajnego przejścia, którym Ortega wyprowadził ich na górę. Przejście było jednak tak dobrze zamaskowane, że nijak nie mogli go znaleźć. Echosondy biorąc pod uwagę ilość stali wycieczkowca tkwiące w torfowisku po prostu wariowały. Wrócił, więc Sylfoniusz przed wejście od strony komory i zaczął się głośno domagać, by wydano mu Gabriela Pilarion Ortegę. To wtedy oszczędzi „ten żaloszny padół i całą tę zgraję dziwaków” i nie zetrze wszystkiego na proch. No, ale tu do końca nie wiadomo. Czy ekipa remontowa chciała go wpuścić, ale nie zdążyła, czy że jednak postanowili się bronić. Sylfoniusz nie doczekawszy się spełnienia ultimatum wydał rozkaz otwarcia ognia, do wszystkiego, co tylko się ruszało a było akurat po przeciwnej stronie. Wywiązała się nielicha bitwa, bo przecież łowcy to nie byli ułomki. To zamieszanie wykorzystał Gabriel Ortega. Przy pomocy swoich ziomków z Planet Zerka otworzył po raz drugi tajne przejście na powierzchnię. Zapakował kolekcję skór Kri do podstawionego raptora, klasy A2, tego samego, na który podmienił bilet i zwiął z bazy łowców zanim Sylfoniusz zdążył się zorientować.

Po bitwie u wejścia do bazy, Sylfoniusz zaprzysiągł, że nie spocznie dopóki w jego ręce nie wpadnie ten fałszywy pies Ortega. Zaraz też skontaktował się przez wojskowe łącza z ojcem, starym Orchisem i zameldował o zdradzie Zerkańskiego informatora. Co równało się, zaanektowaniu Terytoriów Zerka dla Secetona. Bez prawa do jakiegokolwiek niepodległości.

Tymczasem Ortega po ucieczce z Tęczowych Lasów wrócił do centrum planety. Wiedział, że Kamillon nie ma, czym odlecieć z Tuvimori, bo nie ma statku. Miał ze sobą wszystkie czterysta dziewięćdziesiąt siedem skór Kri i zaufanych ludzi. Jak wydawało mu się, odnalezienie Kamillona to była tylko kwestia czasu. Musiał go odnaleźć i wyrwać mu kobietę, aby móc ponownie wejść do gry. Ale Kamillon przepadł jak kamień w wodę. Zadekował się w nędznym hotelu w niespecjalnie ciekawej dzielnicy. Miał świadomość,

że szuka go zarówno Ortega jak i Sylfoniusz. Dlatego o ile nie było to konieczne, nie wychylał nosa za drzwi. Czekał, aż ucichnie zamieszanie, jakie wywołali porwaniem najpiękniejszej istoty.

-&!&-

Rozległo się pukanie do drzwi. Trzy razy. Potem cisza. I jeszcze trzy razy. To był nasz umówiony sygnał. Wiktoriusz wrócił z miasta. Przyniósł ze sobą jedzenie. Dla nas i dla najpiękniejszej istoty.

- Panowie – informował ledwo wszedł – w okolicy kręci się mnóstwo ludzi z Zerka. - Odwiesił przemoczony płaszcz na wieszak. Od dwóch dni znowu lało jak z cebra i nie zanosilo się na to żeby miało przestać.
- To przez wojnę – spokojnie odpowiedział Ramzeliusz, przeglądając miejscową gazetę zabraną rano z holu hotelu. Wiedzieliśmy już z TV i gazet, że Seceton rozpoczął wielką ofensywę przeciwko Waregom i jakimś cudem, bez wystrzału zajął wszystkie twierdze na Planetach Zerka. Teraz zacięte walki toczyły się na przedpolach Wuwazarii.
- A co w porcie? – Odezwałem się z nikłą nadzieją, że powie coś pocieszającego.
- Nic – wzruszył ramionami. – Totalna porażka. Strach już nawet pytać.

Od czasu, kiedy ukradziono nam statek, próbowaliśmy wynająć jakiegoś miejscowego przewoźnika, który wywiózłby nas do najbliższej stnicy Imperium Secetona. Stamtąd moglibyśmy dostać się już bez problemów na planetę matkę. Ale było to bardzo trudne zadanie. Miejscowi „kibicowali” w wojnie pomiędzy Imperium a Waregami tym drugim. Nikt nam nie chciał pomóc nawet wtedy, kiedy proponowaliśmy podwójną zapłatę za kurs. Poza tym wcale nie łatwo było znaleźć przewoźnika, który dysponowałby statkiem klasy A5, Przystosowanym do lotów międzygalaktycznych.

- Im dłużej tu będziemy siedzieć tym gorzej dla nas – rzuciłem mimochodem. – Będzie coraz więcej uciekinierów z Zerka i Waregów. Ciężko będzie się poruszać po mieście. Będziemy zwracać na siebie uwagę.
- Chyba już zwracamy – skwitował Wiktoriusz – obsługa jest coraz bardziej ciekawa jak długo tu jeszcze będziemy.
- Czas ewidentnie działał na naszą niekorzyść.
- Myślicie, że Sylfoniusz wciąż jest tutaj?
- Wszystko zależy od tego, po co stary Orchis faktycznie wysłał syna na Tuvimori – odparł Ramzeliusz.

- A może stary wysłał go tu, bo tu jest bezpiecznie? – Dopytywał sam siebie Wiktoriusz.
- Tam wojna, a tu synowie dwóch największych rodów Secetona szukają, żony dla króla. – Ramzeliusz wiedział, że przeholował i natychmiast ugryzł się w język.
- Przypominam ci – odgryzłem się cierpko, – że kiedy wylatywaliśmy z Secetona, to sam Bady Jar wyznaczył mnie do tej misji a nie mój ojciec.
- Nie miałem nic złego na myśli – bronił się Ramzeliusz, żeby tylko nie wyszło na to, że jestem tchórzem i przyleciałem na Tuvimori, żeby nie brać udziału w walkach – tak tylko mi się skojarzyło.
- Mogę na tę wojnę lecieć nawet zaraz – powiedziałem i nie było w tym ani krzty kłamstwa.
- Tylko czym? – Wtrącił Wiktoriusz. Powinniśmy jak najszybciej wydostać się z Tuvimori. Tylko, no właśnie, czym?

Otworzyły się drzwi prowadzące do pokoju obok. Odkręciliśmy głowy. Stała w nich najpiękniejsza istota. Stała oparta o ościeżnicę i bezczelnie lustrowała nas wzrokiem. Tak jak nauczycielka mierzy okiem uczniów, którzy przed chwilą narozrabiali, i żaden nie chce się przyznać. Przez pierwsze dni od porwania musieliśmy ją bardzo pilnować. Kruche to było, wątle, ale bardzo ruchliwe. Nie wspomnę o kopniaku, jaki Ramzeliusz otrzymał w pachwinę podczas porwania. Jeśli nie była związana, to przy każdej nadarzającej się okazji podejmowała próby ucieczki. Dopiero, kiedy zadekowaliśmy się w tym hotelu, minęły dwa tygodnie i kiedy zorientowała się, że nic jej z naszej strony nie grozi. Uspokoila się. Wreszcie mogliśmy ją rozkuć i po prostu trzymać pod kluczem. Najpiękniejsza istota ponownie zmierzyła nas wzrokiem. Potem jakby nigdy nic podeszła do stołu. Zajrzała do toreb, jakie przyniósł Wiktoriusz z miasta. Wyjęła z jednej z nich miejscowy owoc i odgryzła spory kawał, chrupiąc ostentacyjnie swoją piękną buzią. Przełknąwszy popatrzyła na nas pogardliwie. Powiedziała coś w swoim piskliwym języku, którego ani w ząb nie rozumieliśmy. Odwróciła się i zmysłowo kręcąc biodrami ruszyła w kierunku swojego pokoju. Huknęła drzwiami tak, że aż w uszach nam zadzwoniło. Dopiero teraz pozamykaliśmy ze wstydem pootwierane z zachwyty buzie.

- Ona jest fenomenalna – wygęgał Wiktoriusz wyściubiając usta jak do pocałunku.
- Łapy z daleka – ostrzegłem – jest dla króla.

Wiktoriusz wydał z niezadowolenia wargi. Zupełnie tak jakby starał się powiedzieć. „Mam w d... króla”. Ale może mi się wydawało.

- Trzy dni później Wiktoriusz znów wrócił z miasta, ale tym razem tak szybko odpukał sekwencje sygnałów do drzwi, że od razu wiedzieliśmy, że coś jest nie tak. Wpadł do

środku i zatrzasnąwszy drzwi natychmiast przywarł do wizjera. Przyłożył palec do ust dając znać, żebyśmy w ogóle się nie odzywali.

- Co jest? - Zapytałem szeptem.
- Śledzą mnie – ledwo dosłyszałem.
- Kto? – Zapytałem, ale nie otrzymałem odpowiedzi. – Kto ..., no gadaj – starałem się nie krzyczeć.
- Ciiiiii – dawał desperackie znaki, że musimy być cicho. Wgapił się w wizjer starając kogoś wyśledzić.
- Trzeba było uważać – ofuknąłem go szeptem za to, że doprowadził wrogów pod drzwi naszej kryjówki. Spojrzał na mnie z wyrzutem. Uspokoił się po jakiś dziesięciu minutach.
- Nie wiem jak to się stało – zaczął w końcu normalnie mówić. – Wpadłem na Secetończyka w sklepie i ten Secetończyk zaczął za mną iść.
- Znasz go? To ktoś od Sylfoniusza?
- Nie znam. Skąd mam znać?!- Obruszył się.
- I co? Szedł za tobą?
- Tak. Wyraźnie to widziałem. Ale potem udało mi się go zgubić. Tylko ... - zaczął się zastanawiać.
- Tylko co?

Wiktoriusz aż wzdrygnął się na samą myśl.

- Wszędzie zacząłem widzieć Zerkańczyków. Pojawiali się i znikali jak duchy!
- Trzeba się stąd wynosić! – Zawołał Ramzeliusz.
- Spokojnie – próbowałem opanować sytuację. – Dużo ich było?
- Chyba trzech ... albo czterech – próbował sobie przypomnieć – i wszyscy byli w tych swoich skórkach.
- A Secetończyk?
- Co Secetończyk?
- No ... był tylko jeden? – Starałem się ustalić logiczny przebieg akcji.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Jeden.
- Trzeba się stąd wynosić! – Znowu odezwał się Ramzeliusz.
- Zaraz, Ramzeliusz uspokój się – próbowałem doprowadzić go do porządku. – Mam plan.
- Masz plan?! – Zdziwili się oboje.

Ręce mi opadły.

- No co? Nie mogę mieć planu? W końcu jestem szefem tej misji!

Tego samego dnia, pod wieczór wyszedłem z hotelu na miasto. Wiedziałem, w którym miejscu Wiktoriusz mniej więcej zgubił śledzącego go Secetończyka i właśnie tam się udałem. Jakieś pół godziny krążyłem w wyznaczonym rewirze, odwiedzając sklepy i knajpy aż wreszcie, poczułem na swoich plecach czyjś wzrok. Dyskretnie wyszukałem w tłumie potencjalnego właściciela owego wzroku. Był to wysoki Secetończyk. Niby udawał, że moja osoba go nie interesuje, ale dziwnym trafem pojawiał się w miejscach, do których ja się udawałem. Wkrótce dołączył do niego drugi osobnik. Nie mogłem stwierdzić, czy byli to ludzie Sylfoniusza, czy tylko żołnierze z jakiejś szajki czyhający na łatwy łup. Na Tuvimori było przecież niemało Secetończyków, którzy uciekli tu przed prawem Secetona. Warto jednak było zaryzykować. Odtąd miałem dwójkę aniołów stróżów, którzy podążali za mną krok w krok. Nie udało mi się ich zgubić, aż do samego hotelu.

W nocy, ktoś chwycił mnie mocno za gardło. Jakieś silne łapy przygwoździły do łóżka, tak żebym nie mógł się z niego zerwać i obronić. Napastników było kilku, kilkunastu. Działali szybko i sprawnie. Prawie bezgłośnie, jeśli nie liczyć moich wysiłków związanych z próbą obrony. Po gwałtownej szamotaninie, zrozumiałem, że jestem bez szans. Minęło kilka minut. Nie padł ani jeden strzał, który rozdarłby ciszę nocy. Tamci byli zbyt silni, zbyt szybcy. Zaskoczyli mnie podczas snu.

-&!&-

- Witaj Kamillonie! – Usłyszałem znany mi głos. Ktoś, ale nie ten mówiący, zdjął mi założony wcześniej na głowę kaptur. Siedziałem na krześle. Ręce miałem przewiązane sznurem z tyłu oparcia. Bardzo niewygodna pozycja. No tak, ten głos! Choć miałem okazję słyszeć go rzadko, to takiego głosu się nie zapomina. Pośrodku pokoju stał Sylfoniusz. Triumfował. Wokół kręcili się jego ludzie. Same Secetońskie draby.
- Jak się czujesz? – Zapytał troskliwie. Kpił sobie ze mnie.
- A jak powinienem się czuć?
- Hmm ... - zastanawiał się głośno – po prostu ciekaw jestem, jak smakuje porażka. Bo ja nigdy takiej nie zaznałem. – Zaśmiał się – A właściwie to raczej nie porażka ..., znacznie bardziej boli upokorzenie, prawda? Ty, Kamillon syn wielkiego Kamilliusza zostałeś skrepowany i wpakowany do worka jak zwykły kurczak.
- Nie wiem. Obecnie mi są tego typu uczucia – zaprzeczyłem.
- No nie mów ... - udawał zdziwienie.

- Nazywam się Kamillon. Syn wielkiego Kamilliusza! – Powiedziałem odważnie.
- To pewne rzeczy tłumaczy – potwierdził, – ale nie wszystkie. Zrobił kilka kroków po pokoju tam i z powrotem. Zastanawiał się, od czego zacząć. Podeszedł do okna. Wpatrywał się jakiś czas w światła ulicy. W końcu odchrząknął i rzekł: - Po tym jak zniknąłeś z bazy łowców w Tęczowych Lasach, słuch o tobie zaginął. Zniknąłeś mi z pola widzenia. Skłaniałem się nawet do myśli, że nie żyjesz – powiedział i zaczął mi się bacznie przyglądać.
- Skąd ten wniosek?
- Wojskowe patrole odnalazły twój statek, ten którym wyruszyłeś na misję, dryfujący w kierunku Secetona ... - znowu patrzył na mnie, jakby oczekiwał jakiejś reakcji ale ja pozostałem niewzruszony. Ta informacja była dla mnie zaskoczeniem. Wiedziałem, że statek ukradł Ortega, ale co mój biedny statek robił w dryfie. I to na Secetona? – Co dziwne – kontynuował Sylfoniusz, – został znaleziony bez załogi. To pozwalało mi przypuszczać, że Twoja misja nie zakończyła się sukcesem – dodał jakby na deser.

Nie wiedziałem jak to skomentować. Musiałbym przyznać, że ukradziono mi statek. Dziwne było to, że znalazł go bez jakiegokolwiek załogi.

- A jak niby miałbym zginąć? – Podjąłem jego wcześniejszą myśl.
- No tego właśnie nie wiem. Pewne rzeczy powinniśmy sobie wyjaśnić zanim cię zabije. To znaczy – poprawił się – zanim ulegniesz poważnemu wypadkowi.- Kompani Sylfoniusza zachichotali. – Jak widzisz, koniec końców i tak wychodzi na moje. Tym bardziej, że – tu popatrzył na zegarek, jakby oczekiwał, że coś dzieje się właśnie o tej godzinie w innej części świata – kazałem odesłać twój statek, prosto do pałacu Bady Jara. Zapewne niedługo rozpocznie się ceremonia żałobna.

Przełknąłem niewidzialną kulę przez przetyk, oczami wyobraźni widząc rozpacz mego ojca. Ludzie Sylfoniusza nie przestawali chichotać, uzasadniając tym samym nieprzeciętny intelekt szefa.

- Czy Ortega ostrzegł cię przede mną? Zdradził Ci mój plan, jaki miałem względem Ciebie? – Zapytał niepewnie.
- Nie wiem, kto to jest.
- Przestań! – Warknął krótko, żeby nie tracić czasu na żarty. – Jeśli ostrzegł cię Ortega, to nie potrafię zrozumieć, dlaczego miałby to zrobić? – Spojrzał na mnie pytająco, jakby spodziewał się, że znajdzie odpowiedź - Nie miał w tym żadnego interesu. – Tłumaczył sam sobie - Chyba, że ty ... zaproponowałeś mu coś, czego nie wiem? Coś, co przebiło moją ofertę.

- A jaka była twoja oferta?
- Szczodra. Tak szczodra, że nie mogę pojąć, dlaczego ten plan się zawalił.
- Niczego mu nie proponowałem. – Zaprzeczyłem – Sam domyśliłem się, że coś knujesz. Zresztą, to nie było aż takie trudne.
- Nie?
- Wybacz, ... ale ktoś kto widział najpiękniejszą istotę, po prostu koncentruje się na tym by ją zdobyć. Całe pokolenia Secetończyków marzyły o takiej chwili. Co może być ważniejszego? Ale ty, pomimo że widziałeś jej hologram, nie dobiłeś targu z Ortegą tylko zapragnąłeś upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.  
Tak naprawdę to nie byłem pewien czy widział hologram, ale na to wychodziło.
- Hmm ... - zamruczał pod nosem Sylfoniusz na samą myśl o najpiękniejszej istocie. Pewnie znaczyło to też, że mam rację.
- Skoro sam się domyśliłeś ... to, dlaczego Ortega uciekł przede mną? Przepadł jak kamień w wodę.  
Bardzo spodobało mi się, że to powiedział. Taka sytuacja idealnie wpisywała się w mój plan. I prawdę mówiąc miałem nadzieję, że tak właśnie jest.
- Szukasz Ortegi, mnie, czy najpiękniejszej kobiety? – Starąłem się go naprowadzić na właściwy tor.  
Sylfoniusz spojrział na mnie takim wzrokiem jakby chciał mi powiedzieć, że to pytanie jest nie na miejscu. I jako ofiara nie jestem od zadawania pytań, tylko od udzielania odpowiedzi. Klasnął w dłonie aż echo rozeszło się po salonie.
- Szukałem Ortegi, a ty wpadłeś mi w dłonie. Nieźle co? Prawie jak przeznaczenie. – Zarechotał. Zmartwiło mnie nieco, że nie wspomniał o kobiecie. A to ona była osią mojego planu.
- Nie wierze w żadne przeznaczenia ani podobne gusła. – Zaprzeczyłem – ale może tym razem to jest przeznaczenie.
- No widzisz – poklepał mnie po ramieniu – szkoda tylko, że koniec tej historii nie ma dla wszystkich szczęśliwego zakończenia.
- Mam nadzieję, że akurat w tej historii będzie inaczej.  
Sylfoniusz spojrział na mnie uważniej. Oczy mu się rozszerzyły.
- Chcesz mi coś powiedzieć?
- Chce żebyś zmienił swoje plany względem mojej osoby.
- Musiałbyś mi podać jakiś niezmiernie ważny powód.

- Nie wskażę ci, gdzie jest Ortega, bo nie wiem gdzie on jest, ale gdybyś szukał najpiękniejszej istoty ... - zawiesiłem głos.
  - Cooo? – Zdziwił się Sylfoniusz. - Ty ją masz?
  - Tak się złożyło.
  - To dlatego Ortega uciekł! – Zaklął siarczyście. Znowu wykonał kilka energicznych kroków tam i z powrotem – Gdzie ona jest? – Zaczął rozglądać się wokoło tak samo zdezorientowany jak jego kompani. Zupełnie jakby myśleli, że trzymam ją pod stołem.
  - A widzisz tu moich ludzi? – Zapytałem, zaczynając coraz bardziej panować nad sytuacją.
  - Ona jest z nimi?
  - Tak. – Potwierdziłem.
- Sylfoniusz gorączkowo namyślał się, co ma zrobić.
- Dobrze – powiedział w końcu – nie ulegniesz wypadkowi w zamian za dostarczenie mi najpiękniejszej istoty. Łgał jak pies udając, że nagle zaczęło mu to pasować. Ortega przestał być koniecznie do szczęścia potrzebny. Sam był sobie winien, że nie upilnował kobiety i dał ją sobie skraść. Potem nie miał czym handlować z Sylfoniuszem i dlatego uciekł. Zresztą niepodległość Planet Zerka i tak nigdy nie była brana na poważnie pod uwagę. Ale ja pokręciłem głową na znak sprzeciwu.
  - Mam inny plan. – Powiedziałem a jego ludzie, zaczęli szeptać między sobą, że jestem bezczelny. Sylfoniusz nie miał ochoty go wysłuchać. Jednak coś w nim przeważało i dać znać żebym zdradził, jakie mam zamiary.
  - Pomożesz mnie i moim ludziom, wydostać się stąd na Secetona.  
Zamurowało go tak, że nie mógł nic powiedzieć. Nie dość, że zmusiłem go, by darował mi życie, to teraz stawiałem mu następny warunek. Kontynuowałem dalej.
  - My wrócimy do domu, a ty pozyskasz najpiękniejszą kobietę. Dostąpisz chwały Pałacu – próbowałem nakreślić przed nim zysk wynikający z całej operacji – To chyba dobry układ? Sam osobiście zaświadczę przed Bady Jarem, że to ty zdobyłeś najpiękniejszą istotę.

Któryś z kompanów Sylfoniusza chrząknął znacznie pod nosem, co oznaczać miało, że chciałby coś swojemu szefowi zakomunikować. Sylfoniusz odwrócił się niechętnie za siebie. Zobaczył, który z nich pozwolił sobie na chrząknięcie. Widać jednak, że musiał być to jeden z zaufanych, bo Sylfoniusz zakręcił się na pięcie, kiwnął na niego oraz jeszcze jednego woja ze swojej świty. Wyszli za nim do pokoju obok. Tego samego, w którym jeszcze wczoraj ukrywaliśmy najpiękniejszą istotę. Miałem obawy, co do wyniku narady. Sylfoniusz to był raptus i despota. Miałem nadzieję, że tamci zdołają rozsądnie

wytłumaczyć mu zalety mojej propozycji. Nie musiał mnie likwidować, by udowodnić wyższość swego rodu nad moim. W końcu drzwi otworzyły się i wszyscy trzej wrócili do salonu. Sylfoniusz skinął głową na swego zaufanego człowieka.

- Pan Sylfoniusz zgadza się na twoją propozycję – powiedział oficjalnie, – ale kobieta ma tu być za godzinę. Zrozumiano?
- Musi dać słowo.

Tu popatrzyłem na Sylfoniusza a ten aż się zagotował. Ludzie z jego pozycją mogli obiecywać, co dusza zapagnie a potem mogli tych obietnic zwyczajnie nie dotrzymywać, stawiając na pierwszym miejscu interesy. Danie słowa, to było zupełnie, co innego. Danie słowa, było przystawieniem pieczęci na tym, co się powiedziało. Sylfoniusz zacisnął jednak usta i nic nie powiedział.

- Pan Sylfoniusz daje słowo – powiedział jego zaufany to, co szefowi nie chciało przejść przez gardło.

Poprosiłem by, rozwiązali mi ręce. Potem podszedłem do przeciwległej ściany i uderzyłem trzy razy mocno pięścią. Chwila przerwy i potem jeszcze trzy.

**-&!&-**

Z marnym skutkiem kończyła się wyprawa pod moim dowództwem w poszukiwaniu najpiękniejszej kobiety. Owszem, takowa została przeze mnie znaleziona a nawet porwana. Ale cóż z tego, skoro teraz Sylfoniusz wiozł ją na Secetona, jako swoje trofeum. Zastanawiałem się, co mam powiedzieć ojcu. Miał być spektakularny sukces. Odbudowanie pozycji Kamillonów, jako rodu dominującego. A tu kłapa. Mogło być jeszcze gorzej, bo przez zachłanny pęd Sylfoniusza do władzy absolutnej, mogłem nigdy nie wrócić na Secetona. Ale tego raczej nie można było odczytywać w kategoriach sukcesu. Co najwyżej pocieszenia.

Najmniej całym zamieszaniem przejmowała się najpiękniejsza istota. Podczas lotu albo siedziała wygodnie rozparta w fotelu albo spacerowała po sterówce tam i z powrotem podziwiając mijane galaktyki i planety. Sylfoniusz pozostawił jej dużą swobodę. W zasadzie mogła chodzić gdzie chciała. Poza maszynownią i zbrojownią. Myślę, że nawet w najdziwniejszych konfiguracjach nie przypuszczała, że jest kandydatką na królową Imperium. Tak na wszelki wypadek specjaliści z drużyny Sylfoniusza zrobili jej testy na inteligencję. Dopuszczono do nich nawet Ramzeliusza. Ten wszak ukończył Królewską Akademię. Testy wypadły bardzo dobrze. Choć wydawało mi się, że przy jej urodzie nawet gdyby była głupia jak but, to w niczym by to nie przeszkadzało. Każdy by chciał mieć taką

żonę. Jeśli ślub z Bady Jarem dojdzie do skutku, a ja osobiście w to nie wątpię, to wkrótce trzeba będzie się jej kłaniać w pas.

-&!&-

Po miesiącu lotu, po tym jak Sylfoniusz przystał na moje warunki i zabrał nas na swój statek nareszcie, naszym oczom ukazał się potężny i wyczekiwany od dawna Seceton. Najwspanialsza planeta w kosmosie. Nasza przygoda dobiegała końca. Wszyscy jak jeden mąż zebraliśmy się w sterówce. Nawet Wiktoriusz z Ramzeliuszem przemogli się i zaczęli wymieniać uwagi razem z ludźmi Sylfoniusza. Rzecz jasna każdy wiedział lepiej, jaki tor lotu obrać, jakie będą panowały warunki i co robić by strumień magnetyczny planety nie wybił okrętu z linii lotu. Padło nawet kilka ciekawych historii, związanych z niebezpieczeństwem lądowania. Każda z nich mroziła, krew w żyłach. Każda też kończyła się szczęśliwie. Źle kończyły się tylko te, o których ktoś słyszał, że tamtemu czy owemu to się nie udało. Nawet najpiękniejsza istota wykazała większe zainteresowanie domyślając się, że planeta przed nami to miejsce docelowe podróży.

Wkrótce główny pilot Sylfoniusza zaczął wywoływać kontrolę lotów na tak zwanej szynie dokującej pałacu Bady Jara. Była to jedna z najlepiej strzeżonych arterii na Secetonie. Trzeba było wykonać mnóstwo procedur, związanych z bezpieczeństwem oraz poświadczeniem dostępu do kolejnych stref, ale za to lądowało się wprost na dziedzińcu przed pałacem Króla. Oczywiście nie każdy mógł tam lądować. Lista oficjeli była niezmiernie krótka. A dostanie się na taką listę graniczyło z cudem. Nie mniej szczęśliwcy, którzy mogli pochwalić się przed znajomymi odpowiednim giejtem, automatycznie uważani byli za arystokrację. Elitę Secetona. Niestety przynajmniej raz w roku, ktoś ginął, bo nie był w stanie potwierdzić swojego zezwolenia na przebywanie w tym rejonie. Statek takiego delikwenta był zwyczajnie rozstrzeliwany przez strażę, pomimo próśb, błagań i zaklinania się, że to pomyłka lub urzędnicze niedopatrzenie.

-&!&-

Po trzecim bezowocnym wywołaniu, pilot statku zaniechał oficjalnych procedur i zaczął prosić o zamknięcie pola siłowego, do którego zbliżaliśmy się w dość szybkim tempie, powołując się na znajomości z dowódcą straży. Po kilku chwilach nerwowego wyczekiwania, wreszcie głośnik zaskrzeczał: „Pole nieaktywne”. Spojrzeliśmy po sobie. To nie był żaden obowiązujący procedurą komunikat.

- Jak to nieaktywne? – Zdziwił się pilot. – A kod dezaktywujący? Przecież nie można wyłączyć po prostu pola dla całej szyny komunikacyjnej. Wyłącza się tylko wycinek pola dla konkretnego obiektu. Dezaktywuje konkretnym kodem.
- Wszyscy obecni przyznali mu rację. Pilot pochylił się nad mikrofonem.
- Proszę o kod dezaktywujący pole.
- Cisza. Za chwilę znowu komunikat.
- „Pole nieaktywne”.
- Powariowała ta straż pałacowa czy co?! – Zdenerwował się Sylfoniusz.
- Kapitanie! Pole faktycznie jest wyłączone! – Krzyknął wtem jeden z ludzi Sylfoniusza obserwując na monitorze pomiary z zewnątrz statku.
- Może, to jakaś nowa procedura na wypadek wojny? – Odpowiedziałem. Na Secetonie tak samo jak w całej macierzystej galaktyce widać było gołym okiem, że gdzieś w kosmosie toczy się wojna. Na międzygalaktycznych i międzyplanetarnych szlakach komunikacyjnych panował znacznie mniejszy ruch pasażerski niż zwykle. Za to co chwila, napotkać można było transportowiec, tankowiec czy okręt wojenny.

W lekkim napięciu przepłynęliśmy przez pierwszą bramę strażniczą i faktycznie nic się nie stało. Pola nie było. Gdyby istniało, wyparowałibyśmy jak kropla wody w rozgrzanym garnku. W mgnieniu oka. Stanowiska automatycznych dział obronnych umieszczone regulaminowo za bramą, nawet nie drgnęły na widok statku. Zgodnie z procedurą ich lufy powinny śledzić dokładnie tor poruszania obiektu. Tak na wszelki wypadek. Na całej szynie dokującej, nie było możliwości ani miejsca, aby okręt nie był obserwowany lub nie znajdował na celowniku dział.

Po pół godzinie zaczęliśmy zbliżać się do drugiej bramy. Znacznie potężniej uzbrojonej niż pierwsza. Odczyt wciąż wskazywał brak pola przed nami. Za nami zaś powinno się ono stopniowo zamykać. Ale ludzie Sylfoniusza zgłaszali, że nic takiego nie ma miejsca.

- Dzieje się coś dziwnego ... - zamamrotał pod nosem zaniepokojony Sylfoniusz. – Połączcie mnie z bazą ojca. - Miał na myśli, bazę wojskową. Połączenie zostało nawiązane bardzo szybko. Sylfoniusz obrazowo opisał to, co widzi. Prosił jednocześnie o sprawdzenie procedur dotyczących zabezpieczenia lotów dla pałacu. W międzyczasie przepłynęliśmy przez drugą bramę. Ludzie starego Orchisa zameldowali mu, że nie odnotowano żadnych zmian w procedurze. I nie notują żadnych anomalii w tym względzie. Informacja wydawała się być budująca. Jednak w nas wciąż tkwił niepokój.

- Na wieżyczkach trzeciej bramy zaobserwowaliśmy jakiś ruch. Tak jakby ktoś się nam przyglądał. Być może było to tylko z czystej ciekawości, ponieważ trzecia brama oprócz całej baterii dział posiadała na swoim wyposażeniu, tzw. ścinacze. Metalowe młoty, kręcące się w nieregularnych odstępach czasu i w różnej sekwencji kierunku do szybkości. Ścinaczy było kilkanaście i każdy jeden z osobna był mniej więcej cztery razy większy od samego statku. Przy kontrolowanym podejściu, ścinacze nie przestają się kręcić, ale pilotowi statku podana jest trajektoria lotu, dzięki czemu unika od zderzenia z młotem. Ukradkiem zauważyłem jak kilku ludzi, ociera rękawem pot znad trzeciego oka. Pilot Sylfoniusza posiadał jednak niesamowite umiejętności. Czasem, jak się wydawało, brakowało zaledwie włosa a zostalibyśmy zmiażdżeni. Kiedy minęliśmy ostatni ścinacz, w sterówce rozległy się oklaski. Klaskała jedna osoba. Wystarczyło jednak tylko jedno spojrzenie Sylfoniusza w stronę delikwenta i oklaski jak szybko się zaczęły tak ucichły. Secetończyk jak niepyszny schował się głębiej za plecy kolegów.
- Kapitanie – przerwał cisze głos pilota – będziemy musieli lądować o własnych siłach.  
 Nie był to problem, ale to była kolejna rzecz niezgodna z procedurą. W tym miejscu, nie wolno było dokonywać manewrów bez kontroli z wieży. Wyglądało na to, że na przypałacowym lądowisku albo mają dużą awarię albo faktycznie dzieje się coś złego. Po zaledwie kilku dalszych minutach, pojawiło się przed nami lądowisko, na którym oprócz statków pałacowych stał również mój galaktyczny okręt, z dumnie wymalowanym znakiem rozpoznawczym Kamillonów na burcie. A więc Sylfoniusz nie kłamał, pomyślałem.  
 Lądowaliśmy. Statek osiadł mocno na platformie. Pilot wyłączył silniki.
- Panowie – podniósł nieco głos Sylfoniusz, nie odrywając wzroku od panoramicznych okien statku. – Proszę odbezpieczyć broń.
- Natychmiast zrobił się duży ruch. Wyjmowanie broni i to w dodatku przygotowanej do użycia było niedopuszczalne na terenach pałacu. Podczas zwyczajowych odwiedzin, każdy gość zostawiał broń na statku. Jeśli ktoś nie dopilnował tej czynności, był natychmiast zatrzymywany przez strażę pałacowe. Tyle tylko, że tym razem na lądowisku nie było żywego ducha! Próżno było wyglądać obsługi, pilotów, straży. Sprawa robiła się coraz poważniejsza.
- Oddaj mi broń – powiedziałem do Sylfoniusza, bo zabrał mi ją, jeszcze w hotelu. Popatrzył na mnie nieufnie. Pewnie bał się, że strzelę mu w plecy, kiedy będzie okazja.
- Wydajcie im broń – wydał polecenie. Potem skinął na dwóch swoich ludzi, żeby mieli szczególne baczenie na najpiękniejszą istotę. Podeszliśmy pod służę. Sylfoniusz wysłał

przodem zwiad. Ten oddalił się od statku na jakieś siedemdziesiąt metrów. Przystanął rozglądając się bacznie. Dał znak, że póki, co nie dostrzegają zagrożenia. Dopiero wtedy odważyliśmy się wyjść. Ruszyliśmy ostrożnie, a potem coraz szybszym krokiem w kierunku korytarza prowadzącego do komnat Pałacu. Maszerując przez lądowisko rozglądaliśmy się niepewnie na boki. Jakoś przez skórę czuło się, że zaraz coś się wydarzy. Przeszliśmy przez lądowisko, korytarz, zwiad znajdował się już w połowie długich schodów do holu Pałacu. Zacząłem się niepokoić, że na Secetona zawitała jakaś epidemia i wybiło wszystkich pałacowych, łącznie ze strażnikami, co do nogi. I dopiero, kiedy byliśmy już w drugiej części schodów, prawie na samym szczycie, zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Jeden z ludzi Sylfoniusza, zamykający korowód spadł nagle na łeb na szyję w dół schodów. Za chwilę stało się tak samo z drugim. Nic im się nie stało, ale byli mocno poobijani. Zatrzymaliśmy się przyglądając fajtłapom. Nagle najpiękniejsza istota zaczęła piszczeć, podskakiwać i wymachiwać rękami. Spojrzeliśmy na nią, co prawda piękną, ale jednak wariatkę. A potem wystarczyło podnieść wzrok na szczyt schodów i ... osłupieć z wrażenia. Bo tam, na samym szczycie stało kilkanaście najpiękniejszych istot! Nie jedna, dwie, trzy. Ale kilkanaście. Przemieszani mężczyźni z kobietami. Tych pierwszych rozróżniałem po krótszych włosach i nieco potężniejszej budowie ciała. Byliśmy zaskoczeni. Nasz zwiad, który stał najbliżej nich, porozdziawiał gęby i nie był w stanie wykonać kroku do przodu. „Nasza” najpiękniejsza istota próbowała się wyrwać i pobiec do swoich, ale przytomnością umysłu wykazał się Sylfoniusz i w ostatnim momencie pochwycił ją za rękę. Niestety, za chwilę puścił ją i zaczął szamotać się ze swoją szyją starając coś od niej oderwać. Najwyraźniej dusił się. Doskoczyłem, żeby mu pomóc. Ale wtedy sam zacząłem się dusić. Coś ścisnęło moje gardło jak stalowa obręcz. Osunąłem się na kolana, starając uwolnić od niebezpieczeństwa. Część naszych chłopaków, zaczęła staczać się po schodach, część kłaść na nich. Każdy z nas walczył, o jak nam się wydawało, ocalenie życia. Wreszcie uścisk szyi ustał. Z trudem łapałem oddech.

- Witaj w domu Kamillonie – usłyszałem nagle szept tuż przy swoim uchu. Głos nie należał do żadnego z obcych, ale był mi znany, bo to był głos ... Gabriela Pilariona Ortegi. Rozejrzałem się bacznie wokół. Ale wokół byli tylko Secetończycy z naszego oddziału. Nikogo więcej. A ja wyraźnie słyszałem głos Ortegi. Mógłbym przysiąc, że to był jego głos! Na wszystkich bogów Secetona. Co się tutaj dzieje? Starąłem się jakoś uporządkować kotłujące się w mózgu myśli. Odszukałem wzrokiem Sylfoniusza. Powoli

dochodził do siebie. Siedział na kamiennym stopniu pod kolumną i z trudem przywracał równowagę tlenową w płucach. Minę miał niewyraźną.

Najpiękniejsza istota, która nie oświadczyła tego okropnego uczucia zaciskania pętli na szyi, uciekła do swoich. Tamci spoglądali na nas z góry, jak zbieramy się do kupy, po zaskakującym ciosie. Zachowywali się tak, jakby to oni byli tu gospodarzami a my intruzami.

Podszedłem do Sylfoniusza.

- Wszystko w porządku z Tobą? – Zapytałem i nie było w tym cienia kpiny. Choć okazja była idealna, aby przypomnieć mu, o pewnym obcym uczuciu, którego on nigdy nie zaznał.
- Nie wiem, co się dzieje – powiedział z rozbijającą szczerością. Niestety z oceną sytuacji ja również miałem niezły kłopot. Nie potrafiłem znaleźć sensownej odpowiedzi na pytanie, skąd w pałacu Bady Jara wzięli się obcy. **Prędzej** spodziewałbym się Waregów. Sylfoniusz zdążył zaś otrzeźwieć z zamroczenia i gwałtownie zaczął macać rękami okolice bioder.
- To na nic – uprzedziłem go. – Zabrali nam broń.
- W jaki sposób? – Zdziwił się Sylfoniusz. Niestety na to pytanie też nie potrafiłem odpowiedzieć. Żaden z obcych nie zbliżył się do nas, podczas ataku duszenia. Musieli to uczynić zdalnie.
- Są bardzo silni – Sylfoniusz rozmasowywał kark. – Nigdy nie spotkałem się z takim rodzajem broni.
- Wydaje mi się, ... – próbowałem ukuć jakąś teorię, – że Bady Jar nie tylko nas posłał w kosmos po najpiękniejszą kobietę. Ktoś znalazł tych ludzi przed nami i przywiózł ich na Secetona. Co o tym myślisz?  
Szukałem potwierdzenia swojej teorii ale Sylfoniusz się nie odezwał
- Jeśli, mają tak zaawansowaną technologię, jak moc jaką nas zaatakowali, mogli wykorzystać to zaproszenie i podstępnie opanować pałac. To by nawet tłumaczyło fakt, że ludzie twojego ojca nie wiedzą nic o tym, co się tutaj dzieje. Zauważ – kontynuowałem dalej, nie spuszczając z oka gromady obcych na szczycie schodów, – że mijaliśmy nasze stacje na Sandorii, Rio-Lo i nikt nie wspomniał słowem o nowej rasie, która przybyła na Seceton.
- Tak, to możliwe – tym razem potwierdził Sylfoniusz. - Wbili się na Secetona, jako goście a potem rozsadzili go od środka. Dezaktywowali pole, pokonali strażę i unieruchomili działa.

- Prawdopodobnie opanowali tylko Pałac Królewski – oceniałem sytuację, starając się znaleźć jakieś wyjście, które było dobrym punktem startowym do podjęcia jakiegoś przeciwdziałania – i musiało się to stać całkiem niedawno. Może trzy dni temu a może tylko trzy godziny. Dlatego poza Pałacem nikt nie wie, co wydarzyło się w środku. Ani obywatele ani wojsko.
- Myślisz, że nasz król wysłał w kosmos kilka zespołów szpiegów? I któryś z nich przywiózł ich na Secetona przed nami?
- Niewykluczone – potwierdziłem. – Kiedy ja wylatywałem ze swoją misją szpiegowską też mi nikt nie powiedział, że ty wylecisz z taką samą misją zaraz po mnie. Może Bady Jar wysłał w kosmos więcej szpiegów. I któryś z nich przywiózł mu Obcych, szybciej niż my ?
- Obcy w tym czasie żywo dyskutowali między sobą pokazując nas sobie palcami jak niewolników na targu.
- Nie damy rady ich pokonać. Może spróbujemy się wycofać? Jeśli mamy rację nie opanowali całego Secetona.
- Kiedy zaczęliśmy faktycznie myśleć o wycofaniu się, Obcy zaczęli kiwać na nas, żebyśmy podeszli bliżej. Krok po kroku, niepewni tego, czego można się po nich spodziewać ruszyliśmy bezładnie w górę. To nie był silna i zwarta, drużyna zdobywców. Opanowała nas niepewność chwili. Straciliśmy pewność siebie. Dotarliśmy na płaską część tarasów pod arkadami. Stanęliśmy naprzeciw. Tamtym wciąż nie zamykały się buzie. Nie rozumieliśmy ich ani w ząb. Piszczeli między sobą jak zwierzaki. Tylko te kobiety ... fantastycznie pięknie! W jednym miejscu i o jednym czasie byliśmy świadkami prawdopodobnie jedyne go tak niecodziennego i cudownego zjawiska kosmicznego. Od razu w myślach rozgrzeszyłem Bady Jara, jeśli to on ściągnął ich do Pałacu. My o mało nie pozabijaliśmy się dla jednej, a tu było ich kilkanaście. Obcy niespecjalnie okazywali nam respekt. Przez moment przyszło mi do głowy otrzeźwienie, żeby wykorzystać to gapiostwo i lekceważenie, pokonać ich mężczyzn i wziąć do niewoli kobiety. Chyba na ten sam sposób w tej samej chwili wpadł również Wiktoriusz, bo z głośnym okrzykiem „Na nich!” rzucił się w kierunku najbliższego Obcego. Zanim tam jednak dobiegł, oni znów użyli niewidzialnej siły. Wiktoriusz padł ścięty na trotuar i ponownie zaczął się dusić. Nikt z nas nie miał odwagi ruszyć w jego ślady. Obcy spojrzeli na nas z niesmakiem. Jak na barbarzyńców. Ich dowódca kiwnął znowu ręką na nas dając znać, żebyśmy poszli za nim.

- Pod strażą Obcych, ruszyliśmy w kierunku zabudowań pałacowych. Ich dowódca prowadził nas do sali tronowej, czyli tam gdzie powinien urzędować nasz król Bady Jar. Tam gdzie zapadały najważniejsze decyzje, które nierzadko decydowały o losach całych galaktyk. Obcy dobrze orientowali się w rozkładzie korytarzy, schodów i zakrętów. To potwierdzało tezę, że raczej są tu od kilku dni a nie kilku godzin.

Sala tronowa była bardzo wielką salą z potężnymi witrażami i kolumnadą wewnątrz. Z sufitu zwisało kilkanaście piętrowych żyrandoli. Mniejszych w bocznych nawach oraz większych pośrodku. Ściany przyozdobione freskami przedstawiały różne sceny z życia królów Secetona oraz najjaśniejsze dni chwały. Na końcu sali na znacznym podwyższeniu usytuowany był królewski tron. Choć sala tronowa miała dobre sto metrów długości, już z daleka zauważyliśmy, że ktoś kręci się wokół podwyższenia. Po kilkudziesięciu krokach rozpoznaliśmy go. Na tronie siedział sam Bady Jar! To wlało w nas nadzieję, że być może wcale nie jest tak źle, jak przypuszczaliśmy, że on jakoś kontroluje to, co dzieje się w pałacu. Podeszliśmy do podwyższenia i padliśmy na kolana oddając pokłon należny królowi. Biorąc wzór z dwóch najznamienitszych synów najbardziej zasłużonych rodów Secetona, przyklękła reszta oddziału. Eskortujący nas Obcy ze zrozumieniem i cierpliwie patrzyli na całą ceremonie.

- Królu?! – Zaczął Sylfoniusz. – Ja Sylfoniusz, syn Orchisa oddaję ci należny pokłon. Chwała Królowi! – Krzyknął zgodnie z ceremoniałem. Teraz król powinien odpowiedzieć: „Chwała dzielny synom Secetona” i coś w stylu ojcowskiego „powstań Sylfoniuszu, niech cię uściskam”. A tu nic. Cisza.
- Królu! Ja Sylfoniusz syn Orchisa ... zaczął ponownie zdezorientowany Sylfoniusz, ale wtedy stało się coś co zmroziło nam krew w żyłach. Po dostojnej Sali tronowej rozległ się odgłos głośnego piędnięcia. Z pochylonymi głowami, wciąż nie wstając z kolan wymieniliśmy z Sylfoniuszem spojrzenia. Bady Jar puścił tronowego bąka?
- Królu? – Trzeci raz zaczął Sylfoniusz, tym razem unosząc już głowę. To, co zobaczył nie napawało nadzieją.

Bady Jar siedział niedbale. Rozkraczony na tronie z przekrzywioną na prawe ucho koroną. Jedną nogą przewieszoną przez podłokietnik dyndał jak znudzony dzieciak. Do tego jeszcze dłużył w nosie. A z tego, co udało mu się stamtąd wydobyć, robił kule i strzelał nimi na boki. Jego trzecie oko było zamknięte. Jeśli udało mu się, choć na chwilę zatrzymać na nas wzrok, to i tak było pewne, że nas nie rozpoznaje. Albo wybuchał histerycznym śmiechem albo w tej samej minucie robił minę jakby miał zaraz się rozpłakać. Ewidentnie postradał zmysły. Nagle Bady Jar zaczął się trząść jak w febrze.

Widząc to jeden z Obcych podbiegł do tronu z fiolką tabletek i wprost z tej fiołki, jak śmieci z kosza, zaczął wsypywać jakieś świństwa naszemu królowi do gardła. Ten bronił się niezdarnie. Część tabletek rozsypała się na podwyższeniu, ale część zdołał połknąć. Widok był żalospny. Tak żalospny, że trudno to było zdzierżyć. I Sylfoniusz nie zdzierzył. Wyskoczył jak z procy. Powalił Obcego na dechy i zaczął zadawać mu nokautujące ciosy. Skoczyłem i ja do ataku, ale drogę zagroziła mi zwałista postać.

- Stać! Stać, albo was pozabijam! – Wykrzyczała groźnie. Pomiędzy mną a tronem Bady Jara stanął Gabriel Pilarion Ortega w swoim niezniszczalnym, nieściągającym i nieśmiertelnym futrze! W rękach trzymał ogromny miotacz. Sylfoniusz nie zdążył zabić Obcego a i ja zatrzymałem się w pół kroku. Pojawienie się Ortegi całkowicie nas zaskoczyło. Natychmiast przypomniałem sobie głos „zjawę”, jaki słyzałem na schodach. Tymczasem Sylfoniusz nie czekając na rozwój wypadków skoczył po raz drugi jak kot. Zostawił ledwo zipiącego Obcego i ruszył z podwójną dawką wściekłości na Ortęę. Byłby go zabił jednym ciosem gdyby nie strzał z broni latacza Hokkōla. Latacz tak samo jak Ortega pojawił się nagle przy tronie Bady Jara. Dawka, jaką otrzymał Sylfoniusz nie była śmiertelna ale na tyle mocna, że wył teraz z bólu zwijając się obok tronu w kłębek. Ortega poniósł dłoń do góry. Obok nas ni stąd ni z owąd pojawiło się dwóch Zerkańczyków. Tak blisko, że aż odskoczyłem krok do tyłu. Ale tam byli kolejni Zerkańczycy. Sala pałacowa mocno zaczęła tętnić życiem. Kiedy odwróciłem się do tyłu, dostrzegłem niecodzienny widok. Wokół naszego oddziału stali uzbrojeni po zęby ludzie z Zerka. Było ich ze dwustu a może nawet trzystu. Gdzeniegdzie pomiędzy Zerka stali wojownicy Hokkōla i ludzie z galaktyki Sandorii. Wszyscy ubrani w skóry Tęczowego Kri. Tylko Obcy mieli swoje srebrne kombinezony, które odróżniały ich od reszty. Cała ta armia pojawiła się nagle. Bez szumu, szczęku broni, tupotu wojskowych buciorów ani tumultu rozmów. Jak duchy.
- Witam panie kapitanie – Ortega wyciągnął dłoń w moim kierunku. Ja jednak nie odwzajemniłem uścisku. Byłem wściekły. Poza tym aż za dobrze pamiętałem, że ta dłoń była wiecznie przepecona. On zaś był okropnie dumny z efektu, jaki osiągnął. Kontrolował całość wydarzeń w miejscu, w którym raczej bym się nie spodziewał go spotkać.
- Co to wszystko ma znaczyć? – Wydukałem, starając się zachować resztki secetońskiej dumy. Skąd się pan tu wziął?

Ortega zafundował mi szelmowski uśmiech.
- Proszę mi wierzyć, nie chciałem, ale sami mnie do tego zmusiliście.

- Kto cię zmusił? Ja? – Przeszedłem na „ty”, bowiem nie należał mu się, żaden szacunek. Gdyby nie te ich sztuczki z duszeniem, pewnie bym go zdzielił w pysk.
- Ukradłeś mi kobietę – powiedział z wyrzutem – Nie zaprzeczaj! – Uniósł dłoń. – Wiem, że to ty zrobiłeś. W waszej kabinie na wycieczkowcu, znalazłem urządzenie do przechwytywania kodu.

Gdyby Ramzeliusz stał obok, pewnie spojrzalbym na niego z wyrzutem zaniedbania. Wszak pozostawił na miejscu akcji ślad, który pozwolił rzucić na nas cień podejrzenia.

- No cóż – starałem się nie wypaść z roli. – Jedni kradną kody a inni kradną statki. To ty zacząłeś – podkreśliłem dobitnie, aby dać mu do zrozumienia, że kto mieczem wojuje od miecza ginie. - Poza tym chciałeś mnie wystawić Sylfoniuszowi. Myślałeś, że jestem pionkiem w twojej grze?
- Może i byłeś pionkiem. Ale za to bardzo ważnym. Gdyby mój plan potoczył się tak jak założyłem na początku, Planety Zerka uzyskałyby gwarancję niepodległości, a mnie nie byłoby tutaj. Ani mnie ani Ludzi z Ziemi. Po raz pierwszy wymienił nieznaną mi rasę z nazwy.
- Niestety, wprowadzając kobietę, wszystko popsujesz. Musiałem znaleźć inne rozwiązanie.
- Uruchomiłem lokalizator – Ortega mówił o urządzeniu, które w ostatniej chwili zabrał, ze swojej kabiny – i dałem się namierzyć Ziemianom. Trochę byli zaskoczeni. – Uśmiechnął się pod nosem. – Język handlu jest jednak dość uniwersalny. Doszliśmy do porozumienia – podsumował krótko.
- Przy całym talencie Ortegi, nie chciało mi się wierzyć. Jaki to wspólny interes miałyby tak bardzo odmienne rasy.
- Może i język handlu jest uniwersalny, ale ich język jest całkowicie niezrozumiały. I z tym sobie poradziłeś?
- I tu cię zaskoczę – wydał dolną wargę, jakby sam sobie przypominał własne zaskoczenie. – Jest pośród nich ktoś, kto mówi w naszych językach.
- Tłumacz? – Rzeczywiście mnie zaskoczył.
- Można tak powiedzieć.

Sylfoniusz dochodził do siebie. Dawka uderzeniowa, jaką otrzymał z miotacza, powoli neutralizowała się w jego organizmie. Siedział teraz w kucki przy tronie Bady Jara. Straszny w swej wymowie to był obraz, bowiem wyglądali jak szaleniec i jego smutny kłown. Świta w sali tronowej, częściowo zajęła się swoimi sprawami. Ziemianie zbili się w swój własny krąg omawiając swoje sprawy. Za moimi plecami stali Secetończycy ze statku Sylfoniusza, pieczołowicie pilnowani przez Hokkola i Sandorczyków.

Dalej, aż bałem się pytać.

- Ściągnąłeś na Secetona, tych ..., jak ich nazwałeś? Ziemian? I to wszystko przez jedną kobietę? Zaproponowałeś im wspólny atak na Seceton?
- Atak? – Zdziwił się. – Ależ skąd! Ludzie z Zerka są zbyt słabi, żeby porywać się na Seceton. Ziemianie sami podjęli decyzję, żeby tu przylecieć. Poprosili mnie, żebym wskazał im drogę.
- Ale dlaczego? Czy twoje Planety będą od tego wolne?
- Mam nadzieję, że tak. Ziemianie to dziwna rasa. Są delikatni w budowie ciała. Ich fizyczność jest bardzo krucha. Posiadają jednak niesamowitą zdolność adaptacyjną w zakresie warunków i sytuacji.

Spojrzałem za siebie w kierunku tronu. Bady Jar wydawał się w ogóle nie przejmować tym, co się dzieje. Znowu dłuwał w nosie.

- Można wiedzieć, w jaki sposób wskazałeś im drogę? Przecież, żeby się tu dostać trzeba przelecieć całą galaktykę. Jak unikałeś naszych kontroli?
- To też jest wasza zasługa – rozłożył ręce w geście bezradności. – Wykorzystałem Twój statek.
- Ten, który mi ukradłeś – dodałem, żeby nie wyszło na to, że dobrowolnie go ode mnie dostał.
- Tak, ten – potwierdził – byłem pewien, że nie będzie ci już potrzebny.
- Ale Sylfoniusz powiedział mi, że znalazł mój statek dryfujący samotnie w kosmosie. Bez załogi. – Próbowałem podważyć jego teorię – Coś się w tej opowieści nie zgadza.
- Wszystko się zgadza – przecząco pokręcił głową – faktycznie tak było. Tylko, że statek nie dryfował samotnie. Podróżowałem nim razem z moimi ludźmi i oddziałem Ziemian. Sylfoniusz nie mógł nas zobaczyć, bo jak się pewnie już domyśliłeś wszyscy ubrani byliśmy w skóry Kri. I jakby na potwierdzenie swoich słów, Ortega zniknął. Popatrzyłem po sali. Znikali jak duchy inni Zerkańczycy. Zniknęli wszyscy oprócz Ziemian ubranych w kombinezony. Za chwilę znów zaczęli pojawiać się z powrotem.
- Rozumiesz już? – Zapytał zaciekawiony czy odkryłem zagadkę.

Popatrzyłem z mieszanymi uczuciami na jego futro. Od początku wydawało mi się, że coś z nim jest nie tak, ale nie do końca potrafiłem zdefiniować jego niecodziennność.

- Chodzi o futra?
- No, no ..? – Zachęcał mnie żebym kontynuował.
- Czy to możliwe? – Zapytałem.
- To jest jak najbardziej możliwe! – Potwierdził z kolei Ortega.

- Ale jak!
- Ortega zaśmiał się widząc moje zdenerwowanie.
- Zwyczajnie. Skóry Kri dają niewidzialność – odpowiedział, po czym zapiął zapinkę pod brodą, która łączyła dwa końce futra i zniknął. Za chwilę poczułem lekkie uderzenie niewidzialnej ręki w tył głowy.
- I co? – Dopytywał się niewidzialny głos. – Niemożliwe?

Ortega ponownie pojawił się obok mnie. Mnie zaś zaczęły jak w filmie układać się przed oczami wszystkie sceny niewidzialności. Pierwszy raz, kiedy dwa razy podchodziłem do wizjera w drzwiach hotelu Plaza, bo za pierwszym razem nikogo nie dostrzegłem a wyraźnie słyszałem pukanie. Prawdopodobnie Ortega zapukał wtedy do drzwi, jako niewidzialny. Dopiero za drugim razem zorientował się i rozpiął zapinkę pod brodą i go ujrzałem. Drugi raz, kiedy lecieliśmy wynajętym raptorem klasy A2 do Tęczowych Lasów i na jego pokładzie przeglądałem foldery, na których było wszystko tylko nie Tęczowe Kri. Trzeci raz był wtedy, kiedy poprosiłem Ortegę, żeby pokazał nam hologram Kri a on stwierdził, że to nie jest możliwe. I prawdopodobnie miał rację. Skoro Kri jest niewidzialny to jak zbudować jego hologram?

- Jesteś zaskoczony? – Zwinnie dziwił się Ortega – Gdyście tylko zadali sobie trochę trudu – miał na myśli mnie i Sylfoniusza – tylko trochę. Dowiedzielibyście się jak ważne są skóry Kri. Ale was interesowało tylko jedno. Najpiękniejsza istota!

Zakotłowało mi się w brzuchu, bo przypomniałem sobie jak blisko byłem odkrycia prawdy, przymierzając futro Ortegi w hotelu Plaza. Wtedy okazało się na mnie ciut za wąskie. Gdybym się postarał bardziej, zapiąłbym wtedy tę cholerną zapinkę pod szyją i ... zniknął. Dosłownie dwa centymetry zabrakły od tego, żeby uratować Seceton przed inwazją Ortegi. Dwa centymetry!

- Znaczy się mam rozumieć – podjąłem, – że Sylfoniusz znalazł mój statek, ale on wcale nie był pusty i nie dryfował, bo ty nim leciałeś?
- Zgadza się – potwierdził – wasze wojsko przechwyciło statek już na pierwszej stacji. Kiedy Sylfoniusz wszedł na pokład, nikogo nie zastał - Ortega był wyraźnie rozbawiony – Wysłał komunikat o twoim zaginięciu i na dowód, kazał kilku swoim ludziom odprowadzić twój statek na Secetona. I tym sposobem znaleźliśmy się tutaj. Bady jar, znając smutną informację, osobiście zażądał sprowadzenia statku na dziedziniec swego pałacu. To miała być żałoba z pełnymi honorami. Szkoda, że tego nie widziałeś.

-&!&-

Byłem załamany. Dlaczego kiedy ruszaliśmy na wyprawę w poszukiwaniu najpiękniejszej istoty, nasz wywiad słowem nie wspomniał o niewidzialnych małpach w Tęczowych Lasach i o właściwościach, jakie posiadają ich skóry? Może pomyliło im się z niewidzialnymi najpiękniejszymi istotami?

- A jakie oni mają plany? - Wskazałem podbródkiem w kierunku najbliższej stojących Ziemi.
- Ziemianie szukają planety dla swojej cywilizacji. Powiedziałem im, że wasza idealnie się do tego nadaje.
- I oni w to uwierzyli?
- No to popatrz na nich – wskazał ręką – już czują się jak u siebie. Chcą tu zostać.
- Jak to zostać! W pałacu? To niemożliwe!
- Oj niemożliwe, niemożliwe – zachnął się. – Przestań z tym niemożliwe. I nie chodzi o wasz pałac tylko o całą galaktykę.
- Ale zaraz! – Denerwowałem się – przecież to my jesteśmy panami tej części kosmosu! Wy zajęliście tylko pałac. Reszta galaktyki i stacje są pod naszą kontrolą. Będzie wojna, zniszczymy ich!
- Czyżby? – Zdziwił się. – Wasza amia walczy z Waregami na przedpolach Wuwazarii. Secetona broni tylko rezerwa. To jest parę milionów Trójokich.
- Wystarczy – uspokoiłem go – jesteśmy najlepsi.
- Ortega pokręcił głową.
- Nie wystarczy – zaprzeczył. – Wiesz dlaczego?
- Dlaczego?
- Zbuntują się Sandoria i Hokkola. Tylko czekają, na wasze potknięcie. Nie będą pytać Ziemi o rasę. Będą pytać: „Kiedy!” Poza tym dziś wieczorem zostaną ogłoszone trzy orędzia do narodu. W pierwszym, wasz król Bady Jar uspokoi naród, że wszystko jest pod kontrolą i podziękuje, za wysiłek włożony w budowanie silnej galaktyki. W drugim, Sylfoniusz – tu spojrział na dochodzącego do siebie Sylfoniusza – wyśle na pomoc ojcu resztę Secetońskich oddziałów czyniąc galaktykę dostatecznie bezbronną. W trzecim, ty zaprosisz na Secetona część floty Ziemi.
- Nie zrobię tego!
- Obawiam się, że nie masz wyjścia.
- Prędzej zginę!
- Ortega zamachał ręką gdzieś na koniec sali. Po chwili pomiędzy Zerkanami utworzył się szpaler. Prowadzili nim mojego ojca, wielkiego Kamilliusza. Miał skrępowane ręce.

- No to jak będzie? – Zapytał zadowolony z siebie Ortega.

-&!&-

Wyprowadzili nas z sali i powiedli wprost do pałacowych lochów. Nigdy wcześniej tu nie byłem, dlatego od razu uderzył we mnie duży kontrast pomiędzy przepychem, jaki panował na górze, a smrodem i obskurnymi pomieszczeniami na dole. Sekcja lochów była ogromna. Z tego, co wiem w znacznej części, nigdy niewykorzystywana. Dopiero teraz stopniowo zapełniała się wziętymi do niewoli Secetończykami. Eskortujący nas ludzie i Zerkańczycy w jakiś sposób doskonale się uzupełniali i rozumieli. Nie wchodzili sobie w drogę ani nie wykonywali sprzecznych rozkazów. Być może była to zasługa owego człowieka - tłumacza, o którym wspomniał Ortega. Czyżby jeden człowiek wystarczył, by dogadali się między sobą na tyle, żeby wdrzeć się na Secetona i podstępem opanować pałac?

Jako gatunek, znaleźliśmy się w fatalnym położeniu. Stary Orchis walczył z Waregami i odnosił sukces za sukcesem. Mieszkańcy galaktyki byli pewni, że wkrótce Seceton będzie jeszcze silniejszy niż dotąd, a tymczasem zostaliśmy podstępnie zaatakowani przez jakiś Ziemiaków, którzy przy pomocy handlarza skór, zdobyli nasz pałac a króla wzięli do niewoli! I co gorsza, nikt o tym nie wiedział. W świat cały czas szły komunikaty, że wszystko jest porządku. W najlepszym porządku. Ci dostawcy, którzy pojawiali się w pałacu z zaopatrzeniem również nie dostrzegali specjalnej różnicy pomiędzy tym, co było kiedyś a tym, co jest teraz. Po prostu nie widzieli poubieranych w tęczowe skóry Kri napastników, nadzorujących pałacową służbę. Pocieszałem się, że taki stan rzeczy nie może trwać długo. Pałac musi komunikować się ze światem zewnętrznym i będzie to robił coraz częściej. Nawet, jeśli napastnicy są niewidzialni, to i tak w końcu cała ta mistyfikacja się wyda. Orchis wróci z Wuwazarii i zrobi tu porządek. Niczego już teraz nie pragnąłem tak bardzo, jak widoku Starego Orchisa u wrót Secetona.

Tymczasem Ziemiaki okazali się sprytniejsi niż przypuszczałem. A może był to kolejny pomysł Ortegi? Po tygodniu siedzenia w lochach dowiedzieliśmy się, że Bady Jar ogłosił kwarantannę dla ziem Pałacu i terenów mu przyległych. Powód? Podobno ja, cudem ocalony i Sylfoniusz, wracając z Tuvimori przywlekliśmy ze sobą jakąś zarazę. A nasz dobry król w trosce o swój naród, zakazał zbliżać się innym Secetończykom do pałacu. Tym samym kontakty ze światem zewnętrznym ograniczone zostały do minimum.

A ryzyko odkrycia napastników za murami dworu spadło do zera. Ziemianie ewidentnie grali na zwłokę czekając przybycia swej floty, którą sam osobiście zaprosiłem w imieniu króla, jako sprzymierzeńców i pomocników. Nie wiem, jaki był odzew w narodzie, jaka była jego reakcja na wieść, że odkryta została przez nas w kosmosie nowa rasa i że właśnie zbliża się do nas. Nie przypuszczam jednak by ktoś protestował lub dziwił się. Zaraz po moim orędziu w mediach poszedł krótki reportaż o rasie Ziemian. Pokazali w nim najpiękniejsze kobiety. I jak na mój gust o protestach nie można było nawet marzyć. Stosowniej było by tu mówić raczej o ogólnonarodowej euforii. Zwłaszcza pośród męskiej części populacji. W tym zamieszaniu mało, kto zauważył, że Sylfoniusz wysłał resztki naszej armii na wojnę z Waregami. Nawet prasa niespecjalnie czepiała się, że z jednej strony ogłasza się kwarantannę w pałacu a z drugiej zaprasza gości. Był to dowód na to, że epidemia jest niegroźna i szybko minie.

W drugim tygodniu drogą pantoflową rozeszły się wieści, że nasze stacje padają kolejno jak muchy. Jedna po drugiej. To znaczy nie przegrywają z Ziemianami w walce, ale nasi zapraszają ich na lądowiska i przepuszczają ich do centrum Secetona jako zaprzyjaźnioną rasę. Wszędzie panuje nieopisany zachwyty nad pięknem ziemskich kobiet. I nikt nie podejrzewa, że to podstęp. Dopiero w trzecim tygodniu nadeszły jakieś dobre wieści z zewnątrz. Podobno Stary Orchis nie mogąc uzyskać bezpośredniego kontaktu z synem, postanowił osobiście stawić się na Secetonie na czele części floty. To, że dowódca wszystkich flot zbliża się do Secetona, potwierdziło się z najmniej oczekiwanej strony. Ortega coraz szybciej biegał po pałacu i coraz częściej słyhać go było w lochach. Wpadł w popłoch i znowu zaczął się pocić. Z przyjemnością przyglądałem się tej panice. Myślał, że Secetona da się tak po prostu pokonać jak za pstryknięciem palcami. Teraz chodziło już tylko o to, kto pierwszy pojawi się u bram pałacu. Ziemianie czy ekspedycja Orchisa.

-&!&-

- Jakoś o pierwszej w nocy zaczęli nas ewakuować. Wszystko szybko, szybko. W biegu.
- Co się dzieje? – Krzyknąłem do w kierunku Ortegi, kiedy przepychali nas w pobliżu sali tronowej.
  - Odlatujecie! – Odkrzyknął rozpoznawszy mnie w tłumie.
  - Dokąd?!
  - A dokąd chcecie? - Machnął ręką wcale nie oczekując odpowiedzi.

Przedarłem się w jego kierunku przez szpaler Zerka. Dopiero przed nim samym, powaliła mnie na ziemi niewidzialna siła. Ortega dał znak. Zostałem uwolniony. Ciężko bronić się przed przeciwnikiem, którego nie widać.

- Uwalniamy was. Możecie robić, co chcecie. Możecie lecieć na Rio-lo albo Sandorię albo nawet na Regla – informował. – Wasza sprawa. Tu nie możecie zostać.
- Dlaczego?
- Bo Ziemianie przylecieli. Trzeba dla nich zrobić miejsce.
- Ale to jest nasza planeta, nasza galaktyka! – Rozdarłem się na całe gardło.
- Była wasza – nie zrobiło to na nim wrażenia – teraz będzie Ziemian. Oni będą rządzić w tej części kosmosu.
- Co? – Nie mogło mi się to pomieścić w głowie. Taka potęga jak Seceton, miałyby tak po prostu upaść? I to bez jednego wystrzału?
- To niemożliwe – zaprotestowałem – wiem, że do Secetona leci Orchis z częścią floty.
- To nic nie zmieni – znowu beznamiętnie odparł Ortega, nie zaprzestając notować w swoim notesie. Zupełnie jakby zliczał łupy, które uda mu się zdobyć.
- To nie koniec, przekonasz się! – Ostrzegłem go. – Jak tylko się wyda w reszcie galaktyki, że podstępem zajęliście pałac i wzięliście nas do niewoli, to cały Seceton ruszy, do walki.
- Ortega przestał notować. Spojrzał na mnie uważnie.
- Wyznacznikiem potęgi, jaka siedzi w twojej głowie jest potęga Secetona. Uwierz mi – znów wrócił do notowania – potęga Secetona w porównaniu z determinacją Ziemian, nic nie znaczy.

Tuż przed naszym nosem wynoszono właśnie razem z tronem oszalałego Bady Jara. Siedział z głupkowatą miną, tym razem bez korony, ale za to jak wtedy, kiedy ujrzelśmy go pierwszy raz, z nogą przełożoną przez podłokietnik. Nasz król był teraz symbolem całkowitego upadku.

- Chodź – kiwnął Ortega, składając notatnik – coś ci pokaże.

Wyszliśmy z komnat pałacu na dziedziniec. Już z daleka, przez luft otwartych bram, dostrzegłem światła. Mrowie świateł. Był środek nocy. Odnosiło się wrażenie, że właśnie wstaje dzień. To, co zobaczyłem po wyjściu na plac, przerosło moje największe wyobrażenia o potędze. Ortega miał rację. Nad nami nie było nieba. W jego miejscu stały tysiące, jeśli nie setki tysięcy ziemskich statków. Niektóre tak ogromne, że aż, dech zapierało w piersi. Część dokowała już na lądowisku i wysypywali się z nich Ziemianie formując drużyny i kompanie. Inna część zawracała, po kolejnych obcych. Panował zgiełk i nieustanny ruch. Jak w galaktycznym ulu. Zagłada Secetona stała się faktem.

- Jak mogłeś ich tu ściągnąć? – Pokręciłem głową pełen żalu do Ortegi, widząc jak beznadziejna jest sytuacja. Ten wzruszył ramionami.
- Pomyśl sobie, że kiedyś podobne niebo widzieli nad swoimi planetami latacze Hokkōla, Sandorczycy i my. Tylko, że wtedy agresorami była wasza rasa. Taka jest po prostu kolej rzeczy.
- Ale mogłoby tu ich w ogóle nie być, gdybyś nie wskazał im drogi, nie rozumiesz? – Wciąż miałem żal. W moim odczuciu był to główny winowajca.

Roześmiał się.

- Myślisz, że miałem jakieś wyjście? Tak bardzo pragnęliście zdobyć najpiękniejszą istotę, że pomieszało się wam od tego w głowach. Wasz instynkt zdobywców, być może jest dobry w podbojach innych planet, ale w sferze niepohamowanego pożądania pięknych kobiet, całkowicie zawodzi. Sami doprowadziliście do upadku swojej rasy.
- Zgubiłeś nas – wciąż nie dawałem za wygraną.
- Jednych zgubiłem, innych uratowałem. Planeta Ziemia podobno spaliła się od promieniowania bliskiej gwiazdy. Żeby przetrwać, jako rasa, uciekli w kosmos całą cywilizacją.
- Całej cywilizacji niestety nie udało się uratować – odezwał się nagle obcy głos. Ziemianin wyższy szarżą, wzrostem i posturą, musiał przysłuchiwać się naszej rozmowie. Mówił bezpośrednio do mnie, łamaną odmianą secetońskiego języka. Przyjrzałem mu się uważniej. Co prawda nie miał trzeciego oka, ale jak na Ziemianina miał wyraźnie Secetońskie rysy twarzy.
- Wtedy – kontynuował jakby na usprawiedliwienie - nie posiadaliśmy jeszcze ani takiej technologii ani takiej wiedzy, jaką mamy teraz. Jesteśmy czwartym pokoleniem nowej ery. To znaczy od opuszczenia planety Ziemia.

Rozglądał się po rozświetlonym niebie dumny z potęgi Ziemiań.

- Pan ma racje – wskazał na Ortęgę. - Musieliśmy uciekać z Ziemi, ponieważ pewna kometa przyciągnęła zagładę na cały nasz układ. Nazywała się kometą Mercera. Słyszał pan o takiej? – Pokręciłem przecząco głową.
- Bardzo przepraszam – wtrącił niecierpliwie naraz Gabriel – mam mnóstwo rzeczy do załatwienia. Pozwolicie, że was opuszczę?

Ziemianin skinął przychylnie głową. I jak raz Ortega, unosząc poły futra, jakby zwolniony ze smyczy, pobiegł w kierunku grupy Zerkańskich ludzi. Z daleka wydając rozkazy i komendy. Znowu był w swoim żywiole.

- Proszę się na niego nie gniewać – podjął, na nowo myśl mój rozmówca – to nie jego wina, że zajmujemy waszą galaktykę. Kobieta, o którą poszła cała rzecz, to porucznik Moyra i on jej wcale nie porwał – przełknął flegmatycznie ślinę. – Podstawiliśmy mu ją.
- Co takiego? – Zakręcało mi się w głowie.
- Od bardzo dawna szukamy galaktyki, którą moglibyśmy zasiedlić. Większość jest zajęta. I nie każda nam odpowiada. Zależy od sytuacji mamy wypracowane schematy. Jesteśmy elastyczni. Procedura, jaką wdrożyliśmy na Reglu, okazała się trafna. Dzięki pani porucznik, dotarliśmy do kluczowych informacji. Były na tyle obiecujące, że postanowiliśmy zainwestować w ten projekt wszystkie nasze siły. Moyra miała rozkaz dać się uprowadzić i misję swoją wykonała idealnie. Myślę, że wkrótce awansuje.

Do Ziemianina, z którym rozmawiałem podbiegł inny obcy. Coś szepnął mu na ucho. Potem zasalutował i odszedł szybkim krokiem.

- Już czas na pana – powiedział wskazując drogę do lądowiska a na nim ziemski statek – jest pan ostatni.
- Ale dokąd mam lecieć? – Próbowałem jakoś powstrzymać tę beznadziejną sytuację.
- Zostawiamy wam wolny wybór – uśmiechnął się nieznacznie – Seceton jest za mały na dwie tak duże dominujące rasy.

Dobre sobie, pomyślałem. Z Waregami toczymy wojnę a reszta nas nie cierpi za to, że sto lat ich okupujemy. Wychodziło mi na to, że jedynym miejscem zdatnym do życia będzie galaktyka Regla. Co za porażka. Chyba, że ... zaświtało mi nagle w głowie wszyscy skrzyknijemy się pod buławą Orchisa, uderzymy na Seceton i odbijemy go.

- Niech pan nawet o tym nie myśli – odezwał się ni stąd ni zowąd Ziemianin, jakby czytał w moich myślach. Spojrzał na swój lokalizator. Po czym powiedział – Właśnie w tej chwili dowódca floty Secetona otrzymał propozycję nie do odrzucenia. Jak pan myśli, co zrobi, widząc wokół siebie podobny obraz jak tutaj?

Rozejrzałem się jeszcze raz po niebie zakorkowanym ziemskimi statkami. Bez słowa odwróciłem na pięcie i zacząłem iść w kierunku lądownika. Dowódcą inwazji jest pół krwi Secetończyk. Czyżby Ziemianie byli już tu wcześniej, albo wieki temu Secetończycy dotarli do tajemniczej Ziemi? Nikt mnie o tym nie uczył.

Tuż przed trapez statku dogonił mnie ziemski posłaniec. Zasalutował tak samo jak swojemu dowódcy.

- Kapitan Ludwikus prosił, żebym to panu przekazał – tu podał mi jakąś plastikową kartę.
- Co to jest? – Zapytałem, mając na uwadze również to, że Ziemianin nosi Secetońskie imię.

- To jest karta do automatycznego pilota. Są na niej zapisane współrzędne Ziemi.
- Po co mi ona? – Zdziwiłem się. – Przecież wasza planeta spaliła się dawno temu.
- To nie jest zwykła karta, tylko osobista karta kapitana. – Zrobił pauzę, żebym był świadomy jak jest cenna. – Wewnątrz statku znajdują się kapsuły ruchu i czasu. Kapsuły ruchu są ogólnodostępne. Kapsuły czasu są tylko dla wybranych. Jeśli odpali pan kartę przeniesie pana w okolice Ziemi z czasów jej ewakuacji.
- Skok w czasie?
- Tak. Aż do czterech pokoleń wstecz.
- Często daje takie prezenty? – Coś mi tu nie pasowało. Spojrzałem w kierunku kapitana, który wciąż stał na schodach pod arkadami. Jego postać oświetlały czerwone księżycy Lagorre. Przyglądał się bacznie mojej rozmowie z posłańcem.
- O ile mi wiadomo to pierwszy taki przypadek.
- Znaczy się – domniemałem – powinienem czuć się zaszczycony?
- Tego nie jestem pewien.
- Ponieważ?
- Mam panu jeszcze przekazać, że ta karta działa tylko w jedną stronę. Jeśli jej pan użyje nie ma już odwrotu.
- I on myśli, że ja tam polecę?
- Nie wiem. Powiedział, że będzie pan wiedział, jak jej użyć.

Jeszcze raz spojrzałem na szczyt schodów. Ludwikus nie spuszczał z nas wzroku. Jakby bał się o wynik rozmowy z posłańcem. Mierzyliśmy się przez dłuższą chwilę wzrokiem na odległość, kiedy nagle przyszło olśnienie.

- Proszę przekazać kapitanowi – powiedziałem, by brzmiało to pewnie, – że może być spokojny. Wiem, co z nią zrobić.

THE END

*Jeśli, chcesz się dowiedzieć, czy Kamillon użył karty i wykonał skok w czasie, oraz jaką odegrał rolę na ginącej planecie Ziemia, powinieneś przeczytać „Jeszcze raz, ostatni”.*